ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 4

1 lipca 1937 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
31 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik · sprawy społeczne · literatura · sztuka

ZYGMUNT JAROSZ

SZYMON KONARSKI

Imię Szymona Konarskiego otoczyła aureola legendy bezpośrednio po męczeńskiej śmierci bohatera. Dziś — z perspektywy stulecia jego działalności — ocenić wypada, że legendarność nie poszła w parze z pogłębieniem stosunku narodu do postaci najwybitniejszego emisarjusza epoki po powstaniu listopadowym. Nie dokonano ani właściwej oceny osobowości Konarskiego ani głębszej analizy jego roli historycznej. A przecież postać i działalność tego bohatera obfituje w tyle różnorakich aspektów! Jednym z nich jest dogłębna aktualność jego poglądów społecznych. Niespełniony snać został testament Konarskiego, skoro jego opinje o bardzo wielu najważniejszych zagadnieniach życia narodowego tchną wciąż jeszcze taką niekłamaną świeżością.

Szczupła, bardzo szczupła jest puścizna pisarska Szymona Konarskiego. Ale bo też krótkie jego życie było jednym szlakiem czynów. Urodzony w roku 1808, w powstaniu listopadowem dosłużył się rangi kapitana, brał udział w tragicznej wyprawie Zaliwskiego w r. 1833, pod koniec grudnia 1835 r. jako emisarjusz „Młodej Polski" przekradł się przez kordon graniczny zaboru rosyjskiego, w czerwcu 1837 r. stanął na czele Związku Ludu Polskiego, 27 maja 1838 r. został uwięziony przez żandarmerję carską, a 27 lutego 1839 — rozstrzelany. Dwa głównie źródła dostarczają nam wiadomości o światopoglądzie Konarskiego: jego artykuły, zamieszczone w czasopiśmie „Północ" (organ „Młodej Polski", Paryż 1835), oraz mała rozprawka „O obowiązkach Polaka" („program działań narodowych").

Konarski był jednym z najkonsekwentniejszych i najbardziej bezkompromisowych demokratów polskich swego czasu. Naczelną swą ideę streszczał w dwóch słowach: *wszechwładztwo ludu*. Prawda, wiele było w jego poglądach utopizmu, z którego nietrudno zdać sobie dziś sprawę. Prawda, nie wszystkie swoje myśli definitywnie sprecyzował. Ale w swym utopizmie był tylko wiernym synem epoki, a swoich myśli nie zdążył udoskonalić w ogniu praktycznej działalności, tak wcześnie przerwanej kulami carskich siepaczy.

„Młoda Polska", z której wyszedł, stanowiła jedną z autonomicznych gałęzi „Młodej Europy", międzynarodowego związku, założonego przez Józefa Mazziniego. Najgólniejszym celem włoskiego rewolucjonisty było obalić trony powszechnem powstaniem ludów. Szymon Konarski aż do śmierci wierny pozostał tym demokratycznym ideałom. Wrócił z wygnania do ojczyzny jako emisarjusz „w celu rzucenia myśli, która, rozwinięta w kraju, mogłaby zmienić podstawę związku społecznego. Za Polskę z królem, choćby Polakiem, za Polskę, napełnioną przywilejami, nie poświęcę jednej kropli krwi" — stwierdzał wyraźnie w jednem ze swych pism zeznawczych.

„Posłał go duch emigracji" — powie o Konarskim Lelewel. O tem zaś, jaki był ten „duch", dają pewne wyobrażenie dwa artykuły Konarskiego, umieszczone w „Północy": „Stan przejścia i ostateczne urządzenia społeczności" oraz „Zbrodnie ludu są skutkiem źle urządzonego społeczeństwa". W „stanie przejścia", w okresie rewolucyjnej walki o niepodległość narodową i wyzwolenie społeczne — rozumuje płomienny autor — należy zdobyć fundusze na tę walkę od klas posiadających.

„Bogacz, szumiący krwią i łzami ludu polskiego po salonach petersburskich, nie powinien na ziemi naszej znaleźć funduszu na zbytek i rozpustę. To co ma nadto, powinniśmy obrócić na oswobodzenie kraju i na uposażenie tych, co mają zamało.

„Magnaci niczem nie potrafią usprawiedliwić nieprzychylności, obojętności dla ziemi, co dla nich była rajem. Lecz czyliż to samo można powiedzieć o mieszkańcach miast? Szlachta ujarzmiona, a głupio-dumna, ciemna, a zarozumiała, panująca, a nie umiejąca rządzić, zepsuta podłemi pochlebstwy poetów, historyków i kronikarzy, którzy pod nieba wynosili jej rozum, jej cnoty, jej wolności, uwierzyła, że w jej żyłach płynie krew uprzywilejowana, pogardzała motłochem, pogardzała mieszkańcami miast. Od tysiąca lat osiadłych, wspólników nieszczęść i chwały nie uważała za braci, za rodaków. Przemyślnych, pracowitych nazywała cudzoziemcami, żydami, niemcami, jakby to było zbrodnią urodzić się w środku Europy, albo na brzegach Azji, jakby to było zbrodnią być niemcem, lutrem, grekiem, turkiem albo żydem, jakby to nie było pierwszym warunkiem ojcowskiego rządu przez sprawiedliwą praw opiekę przywiązać do rodzinnej ziemi nawet obcych przybyszów".

„Mylą się i oby ich pomyłka nowych nieszczęść na Polskę nie ściągnęła, ci co wołają: „Chłopy, na koń przeciw Moskwie — dostaniecie po mordze gruntu!"

„Nie nadajemy*) po mordze gruntu trzydziestu chłopom na trzystu, co jest niedostatecznem nawet dla trzydziestu obdarowanych, ale uposażamy cały lud polski, tj. potrzebnych po wsiach, potrzebnych po miastach".

W drugim z wymienionych artykułów zastanawia się autor nad dwoma rodzajami zbrodni, najpospolitszemi wśród ludu polskiego: dzieciobójstwem i podpalaniem. Włościanie dzielą się na gospodarzy i parobków. Ci ostatni nie mogą się żenić, bo nie są w stanie utrzymać żon ani wyżywić dzieci. Tajona miłość z „dziewkami", służebnemi gospodyń, zastępuje związki, nakazywane prawami świeckiemi i kościelnemi. Brzemienność dziewczyny staje się jej tragedją: świadomość niemożliwości wychowania dziecka, strach przed pogardą i wstydem, któremi dziki przesąd ma ją otoczyć, popycha nieszczęsną matkę do zbrodni. Ostatecznie, czyni to, co później uczyniłby batog ekonomski.

Nigdzie niema tylu podpalań, co w Polsce. Zbrodnia ta jest skutkiem zemsty, pochodzącej z nędzy i ucisku. „Panowie nadaremnie budują więzienia, stawiają pręgierze, szubienice. Gdzie jedni panują, a drudzy służą; jedni używają, a drudzy cierpią, gdzie jedni korzystają z oświaty, a drudzy pogrążeni w ciemnocie — tam nędza, zemsta, rozpacz, podadzą człowiekowi głownię, siekierę, miecz".

Najpiękniejszym fragmentem puścizny pisarskiej Konarskiego jest niewątpliwie mała broszurka „O obowiązkach Polaka". Napisał ją w r. 1838, przebywając w charakterze emisarjusza na Podolu. Związek Ludu Polskiego znajdował się wówczas w kulminacyjnym punkcie swego rozwoju. Ukończono wszystkie najistotniejsze przygotowania techniczne do powstania. Jednakże Konarski postanowił nie przyśpieszać wybuchu i w dalszym ciągu prowadzić akcję propagandowo - agitacyjną. Co skłoniło go do tego kroku, mimo, że — jak sam się wyrażał — „długa konspiracja łamie się, po krótkiej można tu zacząć działać, wzywając do zajęcia całą prawie emigrację demokratyczną"? Niesposób odpowiedzieć na tem miejscu na pytanie, bardzo zresztą trudne. Dość, że broszura „O obowiązkach Polaka" obliczona została wyraźnie na długi zasięg działania w czasie.

Stanowi zaś ona klucz do poznania psychiki Konarskiego wogóle, a umysłowości jego w szczególności. Widzimy w niej jasno, że tam, gdzie świetny konspirator usiłował być abstrakcjonistą, był jednocześnie utopistą; gdzie snuł rozważania o najogólniejszych prawach i celach życia społecznego, tam nie był ani oryginalny, ani głęboki. Jakże inaczej miała się rzecz z omawianiem konkretów u Konarskiego! Tu był zawsze najtrzeźwiejszym realistą, nie ulegającym żadnym złudzeniom, twardszym od tej rzeczywistości, z którą walczył. W abstrakcie była jego utopijna słabość, w konkrecie — realistyczna siła. Chętnie posiłkował się Konarski modnemi podówczas pojęciami w rodzaju „prawa natury", „stanu (społeczeństwa) przeciwnego naturze", „czystej religji" i t. p.; słowa „cnota" używał w klasycznem robespierrowskiem brzmieniu. Wszystkie te pojęcia i określenia dawno już, jak wiadomo, uległy dewaloryzacji; uniknęły jej natomiast prawie wszystkie wypowiedzi Konarskiego na tematy, wyrwane, aby tak rzec, z trzewiów rzeczywistości. Przykładowo wskazać tu można opinję o żydach:

„Żydzi w kraju naszym nieprzypuszczeni do posiadania własności gruntowej, a stąd nie w pracy, lecz w szachrajstwie szukający sposobu utrzymywania się, przyczyniają się niezmiernie do demoralizacji ludu, są powodem pijaństwa, a z niem kłamstwa i kradzieży często połączonych, usuwać więc ich ile możności z wiosek naszych należy i wpływowi ich na włościan zapobiegać. Wszakże i tej klasy*) zniechęcać nie powinniśmy, owszem dowódźmy im, że dziś pod despotycznym rządem bogatsi tylko z nich wszelkie korzyści pobierają, a ubożsi dźwigają ciężary, wskazujmy im zyski z odmiany rządu: udoskonalenie rzemiosł, stworzenie wolnego handlu i uczestnictwo obywatelstwa".

Zło, którego przyczyną w społeczeństwie polskiem byli żydzi, nie jako naród, ale jako ofiary ghetta (życia na marginesie, życia „z niczego"), znalazło w Konarskim najsprawiedliwszego sędziego. Jakże daleki był bohater od... hecy emigracyjnej! Widział bowiem nieuprzedzonem okiem podział społeczeństwa żydowskiego na dwie wielkie grupy, analogiczne do istniejących również w społeczeństwie polskiem: uprzywilejowanych i uciemiężonych. Nie w polityce eksterminacyjnej szukał rozwiązania problemu żydowskiego, lecz w uproduktywnieniu mas żydowskich. Widział w żydach przyszłych równouprawnionych obywateli Rzeczypospolitej. Już „Północ" zresztą użyła po raz pierwszy terminu: „polacy mojżeszowego wyznania". Pod tą też nazwą przyjmowano izraelitów bez żadnego ograniczenia do Związku Ludu Polskiego.

Konarski zwalczał gwałtownie zaufanie do pomocy „gabinetów" tj. rządów europejskich:

„...narody nie przez gabinety, ale własną dźwigają się siłą..., gabinety, jako narzędzia królów, zupełnie z narodami sprzeczny interes mających, nic zdziałać ku zbawieniu naszemu nie mogą, a chociaż niekiedy jakiemu z wyjarzmiających się narodów napozór sprzyjają, zaraz jednakże po osiągnięciu w tem własnych swych celów opuszczają go.

„...a gdyby nawet jakim gabinetom wypadło kiedy działać zgodnie z żądaniem naszem, zawsze jednak wewnętrzne tylko usposobienie naszego narodu i współdziałalność jego dobry skutek wydać mogą.

„Okazujmy, że tylko narody los nasz podzielające są sprzymierzeńcami naszymi, że ich rewolucyjne działania są cząstką sprawy naszej, że gdzie walka za wolność, tam walka za nas".

Konarski przejął się najgoręcej losem chłopa polskiego. Poświęcał mu też najwięcej chyba uwagi. Pisał:

„Rozszerzajmy zasady czystego republikanizmu, dowodząc, że najwyższa władza narodu przy nim samym zostaje i że ta tylko ustawa jest obowiązującem prawem, która z ogólnej woli wypływa; a kiedyśmy dotąd z pohańbieniem praw natury i zagłuszeniem sumienia najliczniejszej klasy narodu do praw i używania darów Boga, wspólnych wszystkim ludziom, nie przypuszczali, dziś błąd ten poznać i dług przez przodków zaciągniony święcie wypłacić winniśmy".

Zdanie to jest najlepszym dowodem, jak daleko sięgało u romantyków wtłaczanie najżywotniej-

*) Konarski przemawia tu imieniem „Młodej Polski". Słowem „potrzebni" określał warstwy pracujące.

*) Konarski nie grzeszył nadmiarem ścisłości terminologicznej. Błędność użycia słowa „klasa" jest tu oczywista.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

ISTOTA REWOLUCJI NIEMIECKIEJ

Artykuł Pawła Hulki-Laskowskiego, wnoszący wiele ciekawego materjału do poznania ruchu narodowo-socjalistycznego, drukujemy jako artykuł dyskusyjny. Nie wszystkie tezy i wnioski artykułu odpowiadają poglądom redakcji.

W samem pojęciu rewolucji (re—ewolucja) mieści się pętany dynamizm postępu, który trzymany zbyt długo na uwięzi, zrywa się nagle i dogania, albo nawet przegania znacznie metę normalnego postępu ewolucyjnego. Ale mamy także rewolucje wsteczne, rewolucje zdołu i rewolucje zgóry, potężne reakcje, gwałtowne cofania się wstecz. Schemat rewolucji jako akcji doganiającej cele powstrzymywanego postępu, nie pasuje do tego, co zaszło właśnie w Niemczech i dlatego niejeden uważa, że zdobycie władzy przez narodowy socjalizm to nietyle rewolucja, ile raczej reakcja, odwrót wielkich rozmiarów, cofanie się masywu niemieckiego na jakieś własne pozycje, wycofywanie się narodu Kanta i Goethego z wielkiej społeczności świata demokratycznego, przeciwstawianie się temu światu w poczuciu swej wielkości, siły i sprawiedliwości. Może to ktoś uważać za megalomanję, za chorobę niebezpieczną i dla chorego i dla jego otoczenia, ale zmiana nazwy nie zmieni istoty rzeczy. Rewolucja czy reakcja, wielkość czy megalomanja, to już słowa jedynie, za któremi kryje się treść. Tę treść trzeba poznać koniecznie.

I nie należy oceniać hitleryzmu powierzchownie, według tego, co on sam mówi o sobie i czego dotychczas dokonał. Trudności gospodarcze czy polityczne i społeczne mogą wpłynąć na hitleryzm tak czy inaczej, mogą go nawet obalić, o ile chodzi o jego formę zewnętrzną, ale samaż idea tej postaci „ludowości“ *(Volkheit)*, jaką on wprowadza w świadomość dzisiejszego pokolenia niemieckiego, jest czemś, co się w mózgu narodu niemieckiego zapisało tak potężnie, jak wielkie zdarzenie, wstrząs, czy katastrofa zapisują się zawsze w mózgu jednostki. Pewne np. przeżycia czy stany chorobowe mogą mijać bez głębszego wpływu na ustrój fizyczny i jego żywotność, nie znikają natomiast ze świadomości. Człowiek, który przeszedł przez wielkie niebezpieczeństwo albo przez wielką ekstazę, znalazłszy się daleko poza nią, może jeszcze bardzo długo żyć w jej obliczu, w stanie świadomości owego niebezpieczeństwa czy owej ekstazy, jakgdyby tamta rzeczywistość istniała dalej. To są rzeczy bardzo dobrze znane lekarzom i psychologom. Doświadczony lekarz wie np., że niektóre stany chorobowe ciała byłoby nietrudno wyleczyć, „gdyby dusza nie przeszkadzała“. Dusza mogła się przeobrazić pod wpływem wstrząsu, który w niczem nie dotknął ciała. Hitleryzm jako potężne przeżycie zbiorowe całego narodu niemieckiego stygmatyzuje duszę tego narodu i dlatego rewolucji narodowo - socjalistycznej lekceważyć nie należy. W Niemczech stało się coś, co w żaden sposób odstać się nie może.

NADCHODZĄCY NIETZSCHE

Wielka monachijska firma wydawnicza przystępuje do wydania dzieł zbiorowych Fryderyka Nietzschego. Istnieje wprawdzie już parę wydań zbiorowych tego wielkiego filozofa, ale one już nie wystarczają dzisiejszości niemieckiej. Wszystkie te wydania musiały być z natury rzeczy wyborem z pism wielkiego aforysty i czytelnik otrzymywał w gruncie rzeczy to, co dany redaktor uważał za istotne. Już przed laty wielki erudyta francuski, Alfred Loisy, polemizując z władzami kościelnemi, które go cenzurowały, oświadczył, że najświętsze i najczcigodniejsze teksty maleją wobec ich komentatora, gdy ten komentator ma za sobą taką czy inną postać autorytatywnej egzekutywy. Toteż archiwum Fryderyka Nietzschego zawiera mnóstwo rzeczy, które wielu znawcom tego myśliciela są dotychczas zupełnie obce. Nowe wydanie, obliczone na kilkadziesiąt tomów, ma zawierać nietylko to, co od swego autora otrzymało pewną wykończoną postać, ale także notaty, uwagi, szkice, luźne myśli, listy, jednem słowem wszystko, co może choćby w mierze najskromniejszej oświetlić ducha i duszę tego syna i wnuka pastorów niemieckich, którzy stworzywszy wielką teologję naukową, a raczej religjologję, sami przygotowali atmosferę, w której wielki ich epigon niepowstrzymaną siłą rzeczy przeszedł na przeciwny biegun wszelkiej wiary i nadziei religijnej człowieka. Nie sprawy zaziemskie i nadziemskie są przedmiotem jego miłości i zainteresowań, ale ziemia sama ze swojemi tworami, a przedewszystkiem ze swoim człowiekiem, który przez świadome nadczłowieczeństwo zmierza ku olbrzymim celom jeszcze nieznanym.

Ale Nietzsche to nie filozof snobów i salonów. Wkracza on w życie szerokich rzesz narodu niemieckiego i staje się wyrazicielem jego bezwzględnego terrestryzmu. Rzecz dzieje się już nie w konwentyklach pięknoduchów, ale realizuje się w wielkich linjach polityki przedewszystkiem wewnętrznej. Jednym z przejawów tej polityki to sprawa, która otrzymuje błędne i dezorjentujące miano nowego „kulturkampfu“. Dla zwolenników *statu quo ante* w nazwie „kulturkampfu“ mieści się nadzieja. Przegrał przecie Bismarck, większy ich zdaniem i bezwzględniejszy od Hitlera, musi więc przegrać także Hitler. Ale tu nie chodzi o Bismarckowski „kulturkampf“, lecz o coś zupełnie innego, nowego, śmiałego. Bismarck zwalczał formę zewnętrzną i przejawy pewnych konsekwencyj organizacyjnych kościoła, ale nie odważył się tknąć treści. Zanadto był konserwatywny i zbyt wyłącznie tkwił pojęciami w pruskiem junkierstwie. Chrześcijaństwo w jakiejkolwiek postaci było dla niego czemś nietykalnem. Opowiadają o Bismarcku, że był to *sui generis* człowiek pobożny i w chwilach decydujących sięgał po biblję, aby w niej znaleźć słowo potrzebne, utwierdzenie w decyzji, odwagę dla uczynienia pewnego kroku. Walczył nie o nową treść, ale o formę. I walczył wyłącznie z formą.

WALKA O TREŚĆ

Narodowy socjalizm jest walką o nową treść. Jego dążeniem jest: jeden naród, jedna wiara. Wszystko ma być swoje własne, osobne, wyłączne. Ci, co zostali zaskoczeni wystąpieniem Niemiec z Ligi Narodów, nie umieli zauważyć, że Niemcy już dawno wystąpili z wielkiej rodziny narodów, że usamodzielniają się przeciwko całemu światu. Pomimo pewnych różnic doktrynalnych czy organizacyjnych, ludzkość jest wielką wspólnotą ideową. We wszystkich religjach świata najwyższą wartością było i jest życie albo wszechistnienie. W jednych religjach jednostka dąży do zapewnienia sobie żywota wiecznego (indywidualizm intensywny), w innych pragnie spłynąć w niepodzielną całość wszechświata (pankosmizm). Życie jako cel budzi cześć dla wszelkiej postaci życia, zaś ochrona i pielęgnowanie życia to treść wspólna wszystkim religjom świata. W praktyce chodzi tu o treść chrześcijańskiego sądu ostatecznego, gdzie Chrystus sądząc żywych i umarłych, nikogo nie potępia za jego katechizm, rytualizm, czy dogmatyzm, ale za brak miłości praktykującej („Przyszedłem do was głodny, a nie daliście mi jeść“ itd.), że użyjemy tego wyrazu tak często obecnie powtarzanego.

W tej wspólnocie narodów mieściło się wiele innego, a raczej wszystko najcenniejsze dla świata. Walka o żywot wieczny na gruncie religji znalazła uzupełnienie w postaci walki ze śmiercią i cierpieniem na gruncie wiedzy specjalnej. W socjaliźmie współczesnym mieści się nietylko program sycenia człowieka głodnego chlebem, ale sycenia każdego człowieka życiem. Jest to program nasycenia głodu najwyższego, stawiający sobie za cel, aby z tej ukochanej ziemi naszej nie odchodził człowiek niesyty życia i miłości, aby go nie kosiły miljonami żadne „czarne śmiercie“, niepojęte zarazy, szały i wścieklizny.

W walce ze śmiercią człowiek niezawsze przyznawał się do swej miłości do ziemi, ale ta miłość jest faktem. Wypowiedział ją Nietzsche. Zrezygnował śmiało z żywota wiecznego, dostrzegł wiekuisty powrót tego samego (idealistyczne uzupełnienie teorji o niezniszczalności materji i energji) i spojrzał na ideały ludzkie jako na dzieło ludzkiej omylności. Uciec od tej omylności, od tego słabego, tchórzliwego i śmiesznego człowieczeństwa w bohaterskie, potężne, śmiałe i mocne nadczłowieczeństwo, oto program jego. Jest to program, który może być zrealizowany tylko na gruzach świata dzisiejszego. Narodowy socjalizm nie boi się o ten świat, widzi jego bliski nieunikniony koniec i na wszelki sposób stara się przyśpieszyć jego śmierć. Forma to nic, treść to wszystko. Dla nowej cennej treści narodowy socjalizm gotów jest poświęcić wszystkie formy dotychczasowe. Czy nie przecenia swych sił?

LUDOWOŚĆ RUCHÓW NIEMIECKICH

Nie wiem, czy zwrócono należytą uwagę na fakt, że wielkie ruchy niemieckie są ruchami wybitnie ludowemi i to nietylko w realizacji, ale także w genezie. Już Kretschmer, znakomity charakterolog, zwrócił uwagę na dziwne zjawisko, że podczas gdy szlachcic niemiecki von Hutten robił wszystko, co tylko mógł, aby posiąść w Niemczech rząd dusz, władza ta dziwnemi drogami okólnemi stała się udziałem Marcina Lutra, syna górnika i wnuka chłopa niemieckiego. Prosty chłop zdobywa tu wbrew własnym dążeniom i zamiarom zdecydowaną przewagę nad szlachcicem. Sam nie wie, co z tą władzą zrobić i przekazuje ją łatwo władcom zawodowym, ale ci mogą z niej korzystać jedynie w imieniu swego wielkiego mocodawcy i przy pozornem przynajmniej poszanowaniu zasad i haseł, które zapewniły Lutrowi władzę nad umysłami i sumieniami.

Nie ulega wątpliwości, że odrodzenie i humanizm ze swoim krytycyzmem wobec tradycji i z wybitnemi skłonnościami do badania źródeł, musiały oddziałać także na chrześcijaństwo, zmuszając umysły krytyczne do konfrontacyj, ale i to jest pewne, że bez udziału mas ludowych reformacja nie byłaby się wydostała poza tę literaturę, jakiej twórcą był np. Erazm z Rotterdamu i jemu podobni. Przykładów tego dynamizmu ludowości niebrak w dziejach niemieckich. Walka cesarstwa z papiestwem to nietylko rozgrywka między dwoma przedstawicielami różnej postaci władz. Cesarze niemieccy byli tylko wyrazicielami tej idjosynkrazji germańskiej, która nienawidząc form romańskich i formalizmu romańskiego, wyrażała się o południowcach europejskich jako o podstępnym Włochu *(der tückische Welsche)*. Wyrażenie to, niezawodnie odczute głęboko, przechodzi do terminologji naszego Ostroroga w jego memorjale o naprawie Rzeczypospolitej. W tych walkach cesarstwa z papiestwem lud niemiecki brał żywy udział, przeciwstawiając się całemu światu ówczesnemu. To samo powtórzyło się w reformacji, która nie była sprawą li-tylko szlachty, jak u nas, ale najszerszych mas ludowych. Zapoczątkował ją syn górnika, nie zdając sobie może sprawy, że dzieło jego jest dalszym ciągiem walki cesarzy z papiestwem.

Nietzsche powiedział, że dzieło Lutra jest ostatniem wielkiem dziełem niemieckiem i że od jego czasu nie stało się w gruncie rzeczy nic osobliwego w Niemczech. Ocena ta jest tem wartościowsza, że Nietzsche nie lubił Lutra jako wskrzesiciela i ożywiciela chrześcijaństwa i że słusznie oceniał skutki fatalnego separatyzmu niemieckiego jako zgubne dla świata europejskiego. Nie mógł darować Niemcom np. walk z Napoleonem, tym wielkim jednoczycielem Europy. I w tych walkach także dostrzegał jeden z wyrazów odwiecznego ekskluzywizmu niemieckiego.

W tych walkach narodu niemieckiego (cesarstwo i papiestwo, reformacja, walki z rewolucją francuską i Napoleonem, wojna światowa z jej konsekwencjami, narodowy socjalizm) widzimy zawsze separatyzm niemiecki i zawsze dostrzegamy w nich masy ludu niemieckiego z jego niepowstrzymanym zapałem. To jest znacznie większe i potężniejsze niż faszyzm, niż partja, czy obóz polityczny. Lud niemiecki idzie chętnie za tymi, co temu instynktowi ludowemu umieją dać wyraz.

MISTYKA SEPARATYZMU

Hendrik de Man w słowach głębokich i przekonywających powiedział o socjaliźmie, że jest to najgłębsza, najtkliwsza wiara człowieka w dobro, w miłość, w miłosierdzie, w rozum („Zur Psychologie des Sozialismus“). Wykazał na przykładach, że socjalizm to mistyka tkliwych serc ludzkich uzbrojonych w wiedzę i wolę miłości, że ta mistyka żywo przypomina chiliazm chrześcijański, że w niej brata się cała ludzkość, aby już nie było Żydów i Greków, jak wyraża się apostoł Paweł. Jest to mistyka najszlachetniejszego kosmopolityzmu, w której Szwed otwiera ramiona Włochowi, Anglik Rumunowi, Polak Holendrowi. Do głosu dochodzi tu Człowiek. Podnoszona przez przeciwników socjalizmu sprawa rzekomej utopijności tego ruchu nie zmienia rzeczywistości, która jest właśnie taka a nie inna.

Zresztą to się powtarza, to nie przestaje być marzeniem serc i umysłów najszlachetniejszych, najmądrzejszych. W uniwersalizmie kościoła katolickiego mamy także do czynienia z mistyką takiego kosmopolityzmu, chociaż i tu jak w socjalizmie praktyka polityczna wikła tragicznie piękno teorji i wolę dobroci. W tej dążności i w tej praktyce

---

szych i najsłuszniejszych postulatów w powszechnie przyjęte formuły Jana Jakóba Rousseau.

Ale nietylko duch mędrca genewskiego dostarczał Konarskiemu abstrakcyjnych uzasadnień dla konkretnych żądań. W pismach bohatera odnajdujemy również pogłosy mesjanizmu. W broszurze „O obowiązkach Polaka“ czytamy:

„Taki jest los obecny ludzkości i Ojczyzny naszej, że sprawa ich wymaga poświęcenia się bez granic i krwawych ofiar, nie trwóżmy się tem, iż wrogi i błędy nasze potylekroć nam broń wytrącali, iż się ciemięzcy srodze pastwią nad nami, wzbudźmy raczej w sobie i w braciach naszych to przekonanie, iż naród nasz przeznaczony jest na wybawienie z mąk rodu ludzkiego i z ciężkiej niewoli.“

A w jednym z artykułów:

„W tym planie (powstania — rewolucji) przyjmujemy za zasadę niepodległość, połączoną z oswobodzeniem i szczęściem całego ludu polskiego. Jedyny warunek, który nas uczyni godnym reprezentantami nowszej cywilizacji, który kraj nasz postawi na czele Słowiańszczyzny, na czele ludów północno - wschodnich.“

Polska i ludzkość były dla Konarskiego pojęciami zaledwie rozdzielnemi. Warto o tem pamiętać w czasach, które rozbrzmiewają histerycznemi wyzwiskami przeciw „zgniłemu humanizmowi“. Tak jak warto bliżej zapoznać się z myślą i dziełem człowieka, który w jednym z najbardziej mrocznych momentów naszej historji, bezpośrednio prawie po strasznym upuście krwi w powstaniu listopadowem, nie wahał się budzić narodu do nowego czynu. Czynu, którego nie miały skazić stare błędy, który realizowałby wyzwolenie narodowe narówni z wyzwoleniem społecznem.

Zygmunt Jarosz

Niemcy zawsze tworzyli masyw przeczenia, byli wyrazem *votum separatum* uniwersalizmu światowego. Psychologja czy może nawet fizjologja tego nastawienia niemieckiego musi być ogromnie ciekawa, ale jeszcze jej nie posiadamy, dopiero ją wyczuwamy przy czytaniu takich wezwań jak głos Lutra *„an den christlichen Adel der deutschen Nation"*, jak wywody nacjonalisty Fichtego, jak powszechna i powszednia wiara wiara Germanina, że zaprezentuje on najwyższy i najdoskonalszy typ człowieczeństwa. W megalomanji narodowej, w mesjanizmie, w wybraństwie — mniejsza z tem, jak motywowanych — jest niewątpliwie duża siła. W latach, gdy narodowy socjalizm był dopiero propagandą, mówcy wieców narodowo - socjalistycznych w zapale swej płomiennej wiary głosili, że z 70 miljonów Niemców pozostanie po walkach z całym światem może tylko 7 miljonów, ale te siedem miljonów to będą właśnie władcy i panowie świata i wszystkich narodów.

Jest coś tragicznego w prostym fakcie, że Nietzsche, ten wielki kosmopolita, który, jak nikt przed nim, krytykował ostro całe niemiectwo, staje się sztandarem i hasłem dla mas narodowo - socjalistycznych. Narazie masy te przyjmują za swoją jedną stronę jego filozofji, a mianowicie tę, w której Nietzsche tak zdecydowanie, z furją niepowstrzymywanej namiętności zwalcza chrześcijaństwo. W nowem wydaniu zbiorowem jego dzieł, a raczej w tych pierwszych tomach nowego wydania, jakie ukazały się dotychczas, znajdujemy dość jasny obraz rozwoju Nietzschego w kierunku ku antychrystjanizmowi. Zrazu jest on pobożnym chłopcem, takim, jak każdy syn pastora, pisze wiersze pokutne, w pamiętniku swoim za wszystko dziękuje Bogu, ale stopniowo zaczyna się zastanawiać nad istotą wszelkiej religji i moralności, dostrzega tragiczne kontradykcje w życiu chrześcijaństwa i nie waha się ani chwili: zrywa z samym sobą, z całą swoją przeszłością, z tradycją swego rodu. Obnaża źródła moralności i religji, głosi człowieka wolnego.

NOWA OCENA NIETZSCHEGO

O tem wszystkiem było wiadomo już dawno, ale przeciętny Niemiec o nastawieniu chrześcijańskiem odnosił się do Nietzschego krytycznie, negatywnie. Apologetyka chrześcijańska wykorzystywała fakt, że Nietzsche zapadł na chorobę umysłową i wywodziła, że Nietzsche był zawsze chory i że jego filozofja jest wytworem procesu chorobowego. Inni z zadowoleniem powtarzali, że za jego bluźnierczą i bogobójczą filozofję pokarał go Pan Bóg chorobą umysłową. Jeszcze inni w niektórych fragmentach jego „Ecce homo" dostrzegali wyraz rozdwojenia wewnętrznego i jakiś bliżej nieokreślony nawrót do Ukrzyżowanego. Tak czy owak, ludzie ci traktowali Nietzschego jako zjawisko sporadyczne, które można i należy zignorować.

W nowem wydaniu dzieł Nietzschego znajdujemy wyraz nowego nastawienia wobec dzieła Nietzschego. Wyczuwa się doskonale, że wydawcy dyskontują przewrót narodowo - socjalistyczny, którego antycypacją filozoficzną miał być właśnie Nietzsche. Zatroszczono się tu, aby wykazać, że rozwój jego myśli był organiczny i normalny, że jeszcze jako student był on pobożny w zwykłem, mieszczańskiem rozumieniu słowa, ale już wtedy przejawia się jego radykalizm i to nietylko w dziedzinie życia religijnego, ale wogóle. Nietzsche wraca więc tryumfalnie także do tych sfer narodu niemieckiego, które dotychczas odwracały się od niego stanowczo.

Zmiana stanowiska wobec Nietzschego zaznacza się w sposób zgoła osobliwy także w pismach chrześcijańskich, które omawiając pierwsze tomy nowego zbiorowego wydania dzieł Nietzschego, podkreślają mocno normalny rozwój jego duszy, wskazują na etapy jego postawy wobec chrześcijaństwa i religji wogóle i zrzekają się tej łatwizny, która wykorzystywała niegodnie i po jezuicku jego późniejszą chorobę umysłową, zapominając, że choroba ta mogła wszak przejawić się w manji religijnej, na którą zapada tylu ludzi. Pisma te, jak np. świetnie redagowany dwutygodnik ewangelicki „Christliche Welt", stwierdzają lojalnie, że filozofja Nietzschego jest zjawiskiem zgoła normalnem, że w czasach powstawania jego dzieł umysł jego był zdrowy i jasny i że należy też zrezygnować raz nazawsze z łatwego szermowania pojęciem kary bożej, która jakoby spaść miała na filozofa automatycznie za to, że skorzystał z wolności woli. Trzeba przy sposobności podkreślić lojalność Niemców w wypadkach podobnych wogóle. Kiedy przed paru laty cały świat uroczyście obchodził rocznicę śmierci Goethego, władze kościoła ewangelickiego specjalnym okólnikiem napominały pastorów, aby sławiąc wielkiego poetę, nie przedstawiały go broń Boże jako chrześcijanina czy ewangelika specjalnie, bo ani chrześcijaninem wogóle, ani ewangelikiem szczególnie nie był. Teraz przychodzi kolej na Nietzschego. Kto posiada jedno z kilkudziesięciu wydań wielkiego dzieła Spenglera „Der Untergang des Abendlandes" („Zagłada kultury zachodnio - europejskiej"), temu nie trzeba mówić, że nowe wydanie dzieł Nietzschego znajdzie dziesiątki tysięcy nabywców i setki tysięcy czytelników. Nietylko jego „Zaratustra", ale przedewszystkiem jego „Antychryst" stanie się w Niemczech aktualny. Już się stał.

WALKA Z KOŚCIOŁEM

To nie jest jakiś punkt programu partyjnego, czy wyraz amonizji działaczy partyjnych, ale przebudowa duszy niemieckiej, jeśli tak wyrazić się można. Tutaj konieczna mała wstawka, uprzedzająca możliwe nieżyczliwe imputacje. Nie jestem hitlerowcem, gdyż brak mi wszystkiego, aby nim być. Kształciłem się na uniwersytecie niemieckim w czasach cudownej wolności demokratycznej, gdy wolny obywatel niemiecki mógł krytykować nawet cesarza i gdy młodzież niemiecka słuchała i teologa Harnacka i ateistę - przyrodnika Haeckla, aby w sumieniu i umyśle dokonywać wyboru między nimi czy też syntezy. Głębokiej czci dla tej wolności ducha, której zawdzięczam bardzo wiele, nie zdradzę nigdy, zdradzićbym nie mógł, jak nie mógłbym zdradzić samego siebie. Ale właśnie dlatego tem łatwiej przychodzi mi rozumienie hitleryzmu i jego nowej, o ile chodzi o masy, moralności.

Tak jest, moralności. Biorę to słowo w znaczeniu najogólniejszem, a więc najwzględniejszem. Tak jak w Czechach średniowiecznych Hus i jego poprzednicy, a w Polsce Ostroróg, Frycz - Modrzewski i Towiański usiłowali zapełnić żywą treścią swej prawdy i prawdziwości szczeliny powstające między zasadą a praktyką, tak właśnie chce tego samego masowy ruch ludowy w Niemczech dzisiejszych. Można się nie zgadzać z Hitlerem, Rosenbergiem czy Goebbelsem, trudno wszakże przypuścić, że nie wierzą oni w to, co głoszą. Jeszcze trudniej nie podziwiać tej konsekwencji, jaka przejawia się w ich postępowaniu. Ci ludzie są już historją i dalszym ciągiem Barbarossów, Lutrów, Blücherów, Bismarcków... Nie mogą przeboleć krwawych, bezsensownych strat wojny trzydziestoletniej, narzuconej im przez obcą wolę i obce interesy i pragną zabezpieczyć się na całą przyszłość przed wszystkiem, co mogłoby ją choć zdaleka przypominać. Chcą być sobą i tylko sobą, bez wysługiwania się komukolwiek i czemukolwiek.

Reformacja przyniosła Niemcom, i nietylko Niemcom, wolność sumienia i wolność badania, a więc przywileje i powinności badania naukowego. Korzystali skwapliwie z przywileju, wiernie spełniali swój obowiązek. Nietzsche już jako młody chłopak pisał do siostry, że nie chodzi o zdobywanie takich prawd, które są miłe i przyjemne, ale chodzi o prawdę bezwzględną, choćby miała być gorzką. To jest postawa nie jednego jakiegoś Niemca, ale całej rasy i pod tym względem sytuacja ich moralna jest tak samo centralna, jak sytuacja geograficzna. Są brutalni wobec świata, ale są także brutalni wobec samych siebie i nie bawią się w żadne ciuciubabki. Ich totalizm może być wstrętny dla niejednego, osobliwie totalizm wojny zaborczej i ta wola mocy, która przyznaje prawo mocniejszemu, ale tylko słabość nieszczera wobec samej siebie może odmawiać Niemcom prawdziwości i moralności. Ci ludzie w swem dążeniu do podboju świata pod swoją wolę mówią z brutalną otwartością to, co myślą, i nie ich winą będzie, jeśli świat nie zechce zrozumieć ich jasnych i wyraźnych słów.

Odwracają się od świata, stają przeciwko światu, mają odwagę być silnymi i zmuszają innych, aby także byli silni. Istotą germanizmu jest separatyzm, który od stuleci rozbija wszystkie usiłowania ludzkości europejskiej, idące w kierunku uniwersalizmu i kosmopolityzmu. Linja jest jasna i prosta: walka z legjami rzymskiemi, walka cesarstwa z papiestwem, walka narodu i ludu niemieckiego z Rzymem, walka z Napoleonem, wojna światowa, narodowy socjalizm. Zrazu nazywało się to imionami poszczególnych wodzów i władców, ale dzisiaj widzimy, że tu chodzi o coś więcej, niż o imię władczej jednostki, że za każdem z tych imion stoi masyw germaństwa. Czy dzisiejszy hitleryzm zdoła utrzymać się długo? Uczucie słowiańskiej i romańskiej antypatji wróży mu rychły upadek, życzy mu tego upadku, ale to uczucie niepokoi się na samą myśl, że gdy jeden hitleryzm upadnie, przyjdzie inny, przyjść musi, może jeszcze gorszy i masywniejszy od obecnego. Istota rewolucji niemieckiej to masa, ludowość i tradycja, wiekuiste pogłębianie się tego, czemu przed wiekami było na imię Arminius, Rudobrody, Luter... Trzeba o tem wiedzieć i ustosunkować się do tego odpowiednio. Wielowiekowa niemiecka walka z kościołem to tylko cząstka frontu bojowego i to nie najważniejsza bynajmniej. To jest wyosabnianie się narodu, który uważa się za *Herrenvolk* i wierzy w swe powołanie do panowania nad innymi, nad wszystkimi.

Paweł Hulka-Laskowski

DZIENNIK LUDOWY
drukuje powieść Ignazio Silone
„Chleb i wino"
— Warszawa, Warecka 7 —

CZESŁAW HALICZ

SIDŁA

Leon Kruczkowski: Sidła. Warszawa, 1937. Gebethner i Wolff

Książki Leona Kruczkowskiego są zawsze w życiu kulturalnem Polski wydarzeniem. Wnoszą one do naszej literatury wartości odkrywcze, poruszają nowe tematy i zagadnienia.

„Kordjan i cham" był pierwszą bodaj u nas próbą nowego ujęcia przeszłości. „Pawie pióra" — pierwszą próbą wysunięcia jako bohatera gromady chłopskiej.

Bezrobocie nie jest w naszej literaturze tematem nowym.

„Ci ludzie" Boguszewskiej, dwa zbiory utworów pisarzy grupy „Przedmieście", „Kwaśniacy" Drzewieckiego, „Jadą wozy z cegłą" i „Polonez" Boguszewskiej i Kornackiego, wreszcie ostatnia powieść Górskiej „Ślepe tory", świadczą o tem, że ta straszna klęska społeczna wstrząsnęła sercami i sumieniami pisarzy polskich, dając szereg dzieł pierwszorzędnej wartości.

Jednakże we wszystkich tych książkach (oprócz „Ślepych torów" Górskiej), autorzy zajmują się prawie wyłącznie losem bezrobotnego proletarjatu, przyczem interesują ich raczej zmiany ekonomiczne, które zaszły w położeniu klasy robotniczej. Zmiany psychiczne rozpatrywane są przez nich jedynie jako konsekwentne ogniwo zmian ekonomicznych, jako rezultat głodu, nędzy i bezdomności.

Bogdalski, główna postać „Sideł", jest zredukowanym buchalterem. Nie zagraża mu nędza, gdyż jest utrzymywany przez żonę, urzędniczkę „Syndykatu Węglowego". Jest on raczej moralną ofiarą bezrobocia, które wyjaławia jego mózg, zatruwa jego duszę i wkońcu popycha go do zbrodni.

Bogdalski jest człowiekiem najdoskonalej przeciętnym. Nie jest ani lepszy, ani gorszy, ani mądrzejszy, ani głupszy od tysięcy innych pracowników biurowych, adwokatów, lekarzy, inżynierów i nauczycieli. W innych warunkach mógłby być pożytecznym pracownikiem i uczciwym obywatelem. Z nieubłaganą, kliniczną niemal dokładnością autor przedstawia nam jak z dnia na dzień rozluźnia się jego wola, rozprzęga organizm i zaciemnia umysł. Rozprzężenie fizyczne i duchowe, połączone z dziedzictwem drobnomieszczańskich przesądów, nie pozwala mu zdobyć się już nie na świadomy protest i bunt, ale na zdrowy, instynktowny odruch samoobrony. Doprowadza go do tego, że Bogdalski marzy nikczemnie o wojnie, jako o jedynym środku zdobycia jakiegoś stanowiska społecznego (oficera intendentury).

Słusznie mówi Kruczkowski, że „nasz świat jest światem, w którym płaci się za wszystko, więc także za samo życie. Jeżeli niema pieniędzy może czemkolwiek innem, jeżeli niema niczego, płaci się własną nicością". Tylko, że Bogdalski nie zatrzymuje się na tym martwym punkcie, cofa się wstecz — aż do zbrodni.

Świetnie zaobserwowane i przedstawione są szczegóły codziennego życia małżonków Bogdalskich.

Koziak, bezrobotny murarz, mąż posługaczki Józi wyręcza ją w domu i na służbie u Bogdalskich: sprząta, chodzi po zakupy, przynosi z piwnicy węgiel. A również bezrobotny Bogdalski przygląda mu się ciekawie i dziwi się, że Koziak spełnia bez zawstydzenia tak upokarzająca dla mężczyzny pracę. On sam umie tylko kupić bilet loteryjny i marzyć, że gdy szczęście uśmiechnie się do niego, wówczas ciśnie żonie w twarz wydane na niego pieniądze, zemści się. Za co? Chyba za swoje nieszczęsne życie i za swoją własną nicość.

Ów bilet loteryjny zdobyty za „oszczędzone" pieniądze (Bogdalski prowadzi rachunki domowe) i za wyłudzone matce grosze, a stanowiący jakgdyby jego ostatnią szansę życiową, to zresztą najbardziej może charakterystyczny dla psychiki bezrobotnego drobnomieszczanina objaw: przyczyna zła tkwi przecież dla niego zawsze nie w warunkach ustroju, ale poprostu w jakiejś przypadkowej, złowrogiej fatalności, w braku „szczęścia".

Żywy obraz „Fortuny", sypiącej losy ze złotego rogu w witrynie kolektury, urasta w książce do znaczenia symbolu, staje się przedmiotem tajemniczego nabożeństwa, ostatnią fanatyczną miłością, popychającą go aż do zbrodni, ostatnią nicią łączącą go z życiem.

Aż zastanawiające jest jak Kruczkowski, autor „Kordjana i chama" i „Pawich piór", w których (zresztą z natury rzeczy) psychika bohaterów jest jędrna, zwięzła, pełna cierpkiego patosu, ale mało skomplikowana, staje się w „Sidłach" świetnym analitykiem, niepospolitym znawcą duszy ludzkiej. Świadczy to o wielorakości jego talentu.

Natomiast druga czołowa postać powieści dr. Emil Rudny dzieli los wszystkich niemal szlachetnych bohaterów książkowych — jest zbyt doskonały i co za tem idzie, rezonerski i trochę nierealny. Nawet kochająca go Janka mówi: „Ty zwykłeś wszystko nazywać i wyjaśniać. Czy wiesz, że czasem nie lubiłam cię za to?... Wydawałeś mi się... czy ja wiem... trochę oschły".

I nietylko Jance, ale i nam Rudny wydaje się czasami zbyt dydaktyczny i książkowy.

Mimo pełnej poświęcenia pracy lekarskiej, mimo silnego poczucia obowiązku społecznego, rozumiemy, a raczej niejasno wyczuwamy jego zbyt słaby kontakt z życiem.

A jednak, widzimy to z dalszych rozdziałów książki, zwłaszcza zaś z ostatniego listu do przyjaciela, Rudny dobrze uświadamia sobie ten stosunek inteligencji do realnego życia. Pisze przecież: „Dlaczego my, inteligenci, rozumiejąc jak należałoby świat zmienić, dziwimy się, że to nasze rozumienie nie wystarcza, aby w istocie świat się zmienił... rozumna wizja celu przesłania nam żywiołowe trudności drogi.

Robotnicy to ludzie, którzy znają oporną naturę materji, bądźcobądź przecież zmagają się z nią codziennie. Oto jest punkt, w którym ich myślenie góruje nad naszem, inteligenckiem...“

I oto staje się tak, że Rudny w powieści podziela los tych wszystkich inteligentów, o których sam mówi, chociaż autor czyni wszystko, aby przekonać nas, że mamy do czynienia z żywym, pełnym i mocnym człowiekiem, chociaż motywuje nawet psychologicznie przewagę intelektu nad instynktem życia u Rudnego, załamaniem się po śmierci ukochanej kobiety — Olgi. W stosunku do Rudnego zadajemy sobie czasem pytanie: czy Rudny wydaje nam się mało witalny dlatego, że tacy szlachetni, niemal doskonali ludzie, jakkolwiek istnieją czasami w życiu, najtrudniejsi są do odtworzenia w powieści?

I natychmiast jako odpowiedź staje nam przed oczyma inny człowiek — Deczyński z „Kordjana i chama“. Przecież Deczyński jako człowiek nietylko dorównywa, ale nawet przewyższa Rudnego, a jednak mimo prymitywnej, mało skomplikowanej i mało wycieniowanej psychologji, jest prawdziwy i bezwzględnie przekonywający — żywy.

Czyż więc wrażenie małej witalności bohatera nie jest raczej rezultatem tego, że autor nie poprzestał na ukazaniu nam w Rudnym ideału nowego człowieka, lecz chciał jeszcze przez jego usta podzielić się z nami krytyką starego świata, że kazał mu wyzyskiwać każdą sytuację życiową dla przeprowadzenia poglądowej pogadanki? Ale tu nasuwa się nowa refleksja. Czy dla natur takich jak Rudny *rozumienie* świata nie jest czemś najważniejszem i najbardziej istotnem, bardziej istotnem niż odczuwanie? I czy (zarówno w życiu jak w powieści) postacie takie jak Rudny nie są zawsze jakgdyby trochę — „książkowe“?

Janka to raczej delikatny rysunek sepią, aniżeli barwny, soczysty portret współczesnej kobiety.

Autor nie użył jakgdyby umyślnie żywszych kolorów, by zaznaczyć, że w tej młodej kobiecie, tak w istocie pełnej radości życia, jest coś przytłumionego i zgaszonego przez ciężar pracy, trosk i szarzyznę drobnomieszczańskiego „ogniska rodzinnego“. Obudzenie jej umysłu i serca przedstawione jest niezmiernie wnikliwie i subtelnie, z dużym, pozbawionym rezonerstwa umiarem artystycznym.

Inne postacie, jakkolwiek epizodyczne, mają w sobie wiele plastyki i prawdy życiowej.

Konstrukcję książki, zwartą i mocną, psują może nieco dyskusje z Wielemskim, luźnie tylko związane z akcją. Możnaby zarzucić autorowi, że jest to publicystyka sztucznie wciśnięta w ramy książki. Możnaby... Ale czy taki zarzut byłby słuszny?

Książka Kruczkowskiego nabrzmiała jest poprostu kosmiczną tęsknotą do Nowego Życia i Nowego Człowieka. I myliłby się głęboko ten, ktoby sądził, że treścią jej są wyłącznie dzieje trojga ludzi. Każdy z tych ludzi i każda nawet z epizodycznych postaci książki jest jakgdyby reprezentantem zmagających się ze sobą lub ginących grup społecznych, światopoglądów, rozsadzających stary ustrój sił.

Ta pozornie realistyczna książka pełna jest symbolów, niedomówień i skrótów („Biuro usług specjalnych“). I sama książka jest — skrótem. Skrótem — całej naszej rzeczywistości istniejącej i rodzącego się Jutra. Ale jakże w takim skrócie wyrazić w akcji wszystkie myśli, wszystkie dążenia, zmagania się i wątpliwości? Jakże zwrócić uwagę na wszystkie niebezpieczeństwa i zasadzki oplątujących nas sideł, sideł, które trzeba rozerwać, z których trzeba się wydostać? Nadmiar myśli rozsadza poprostu ramy książki i znajduje ujście właśnie w owych dyskusjach i listach, formalnie luźnie związanych z całością książki, a w rzeczywistości złączonych z nią nierozerwalnym węzłem ideowym.

Książka kończy się mocnym akordem, akordem, w którym dźwięczy wiara w przyszłość.

Mimo bowiem grozy, którą budzi w nas ten szpital napełniony ofiarami brutalnej przemocy, pobojowisko ludzi walczących o prawo do życia, głęboko radosny jest fakt, że oprócz bankrutów życiowych Bogdalskich, istnieją jeszcze mocni, nieustępliwi ludzie, którzy walcząc o jutrzejszą prawdę, nie cofną się przed „materjalną prawdą czasu, najpewniejszą rzeczywistością tej chwili — kulą karabinową“.

Czesław Halicz

„SYGNAŁY“

należy czytać
prenumerować
rozpowszechniać

FRANCISZEK GIL

W CHŁOPSKIM TEATRZE

Jasiek nie zgubił złotego rogu...

To nie chłop zgubił złoty róg. Wernyhora wręczył go bowiem Gospodarzowi-miejskiemu inteligentowi, powierzając mu misję pobudzenia chłopów do czynu. Gospodarz-inteligent wolał jednak wygodną drzemkę w fotelu, a róg powierzył niedoświadczonemu drużbie. Chłop-Czepiec prędzej „przejrzał“ i „obudził się wewnętrznie“ niż goście z miasta i naskutek jego właśnie nalegań Gospodarz-inteligent opamiętał się — już zapóźno. Raczej do niego odnosi się posępna przygrywka Chochoła.

...Ten chłopski rewizjonizm kulturalny oceniać można różnie. Przyniosły go wiosną ub. r. pisma młodo-ludowe i jest dowodem, że kiełkująca jeszcze samodzielna myśl chłopska, zwalczająca „odgórne“ prądy kulturalne i patronactwo oświatowe inteligencji, dążąca uparcie do wydobycia i ożywienia wszystkich sił twórczych chłopa oraz do przepojenia każdej dziedziny życia „wsiowego“ pełnią kultury prawdziwie chłopskiej, nieskażonej obcemi nalotami miasta, uderzyła przedewszystkiem w amatorski teatr wiejski, bardzo ważne ognisko życia kulturalnego wielu wsi. Uderzyła w „szmiry ludowe“, w 2 i 3-aktówki pisane kaleczoną, w mieście pośpiesznie na eksport fabrykowaną gwarą, w „zaczarowane koło“ pasiastych spódnic, krakowskich sukman, „karpackich górali“ czy „opętanego Błażka“. Tam zawsze musiał być Żyd-arendarz, nieudolnie przekręcający prostą mowę wiejską, Mazur, wreszcie młynarz plus kilku kolorowych arkadyjskich krakowiaczków, był zielonkawy w ciemnoczerwone paski *lud*, wiesławowska wycinanka, ale nie było *chłopa*, z istotną treścią jego życia.

Trudno było o nowy, prawdziwie chłopski repertuar, utwory, które zastąpiłyby rugowaną tandetę. Koła młodzieży poczęły wydobywać materjał na własną rękę, przerabiając pewne partje odpowiednich powieści, czy wierszy na obrazki dramatyczne, samodzielnie opracowując pomysłowe inscenizacje.

Tymczasem w Warszawie zagrano „Kordjana i chama“. Równolegle, może nawet wcześniej, w sieradzkiem, łęczyckiem, przeworskiem co niektóry samouk chłopski brał chciwie wśród chałup rozchwytywaną powieść Kruczkowskiego i przerabiał dla sceny swojej wsi, opuszczając w oryginalnej, ciekawej interpretacji trudniejsze ustępy. A gdy „Teatr Ludowy“ Koła Młodzieży z Markowej zagrał „Kordjana i chama“ w Przeworsku — salę wypełniło 600 chłopów i 7 miejscowych inteligentów. Przyszli z okolicznych wsi, mimo niepogody i słoty, siedzieli wszyscy do 12-ej w nocy, żaden nie wyszedł przed końcem przedstawienia.

Pisarz i teatr proletarjatu

Teatr Ludowy z Markowej zjechał na podwórze przemyskiego Marxhofu, Domu Robotniczego zbudowanego jeszcze przed wojną, ośmioma chłopskiemi furami, zaprzężonemi w chude, rącze koniki. Na scenę weszły tuż po słowach konferansjera — „pisarz proletarjatu“ — po pierwszych, zaraz potem drugich jeszcze mocniejszych oklaskach — wpierw dzieci: chłopcy i dziewczęta w parciankach, ubogich chustach, tanich portkach, boso, wszystko to niewyrosłe jeszcze z wieku szkolnego. Ta bosonoga brać, starzy bywalcy pastwisk i łąk, dała rzewną inscenizację: „Maciuś“, opartą na motywach życia pastuchów, choć nie tę arkadyjską, ale wyśpiewującą niedolę młodych niewolników bydła i batoga, spędzających świt, ranek i popołudnie przy krowach. Mówił mi chłop krzepki, który przybył z nimi i mógłby być ich ojcem, że tam w Markowej tym „szkolnikom“ prędzej dadzą salę na przedstawienie niż starym. Wierzyłem, bo te dzieci osiągnęły rzecz trudną: scenę polegającą głównie na subtelnej mimice, śpiewie i skomplikowanej koordynacji ruchów zespołu odtworzyli śmiało i ciekawie w nowym, niespotykanym w amatorskich teatrach ludowych stylu, mimo że fujarka to tak stary rekwizyt wiesławowskiej sielanki.

Kruczkowski witany i żegnany gorącym aplauzem przemawiał krótko i mocno, jak na posterunku, choć postać jego emanowała atmosferę sympatycznej pogody, łagodności. Mówił o tem, co odczuwało się przy wejściu na tę salę, wywoływał film rzeczy znanych, wskazując na znamienność wydarzenia:... w Warszawie, w „Letnim“ czy „Polskim“ grał jego sztukę aktor zawodowy, fachowy zespół teatralny, wyszkoleni artyści — dla inteligencji. Do Przemyśla, do teatru robotników przyjechał chłopski teatr amatorski, ludzi, dla których scena nie jest zyskiem, żadną prawie możnością wybicia się, zdobycia sławy czy oklasków. Do was — do kamieniarzy, ślusarzy, subjektów, stolarzy, kolejarzy, robotników budowlanych — przybył chłop — młody — by na deskach waszej sali teatralnej, za pośrednictwem sztuki, pokazać wam już nie kolorową, zakłamaną pisankę ludowości, już nie egzotyczne marjonetki chłopskie, ale kartę swej przeklętej przeszłości, swoje życie prawdziwe, bat, którym pognano na służbę pańszczyźnianą Bartosa i jego kosynierów po przelaniu krwi dla ojczyzny — czyjej?

Aktorzy i publiczność to dwa istotne czynniki teatru. To już truizm. Ale stopień symbiozy, jakość ich współistnienia, mogą być w każdym teatrze różne. Takiej publiczności jak tam — w dużej, dwupiętrowej sali teatralnej „twierdzy proletarjatu przemyskiego“ — jak z dumą powiedział stary „pepesowiec“, prowadzący mnie do niej — nie widziałem w żadnym z wielkich teatrów subwencjonowanych przez miasto czy państwo. W jakimś tysiącu krzeseł wybitych do ostatniego prawie nie było t. zw. „inteligencji“, czarnej, najżywiej na dowcipy reagującej, wytwornej mumji teatrów oficjalnych. Robotnicy, proletarjat, służące, dziewki w chustach, wyniszczone matki z płaczącemi dziećmi na rękach: ta ruchliwa, nieustająco płynna jak „żywe srebro“ fala ludzka, niedojrzała jak fermentujące jeszcze wino, dzieliła się na obozy uciszające się lub nawołujące nawzajem, gwizdające sobie swobodnie w czasie przerw, jak u południowców, we włoskim teatrze.

Ale teatr był pełny, sala zajęta do ostatka na grubo przed rozpoczęciem przedstawienia, aż duszna w ów upalny wieczór czerwcowy. Na scenie Deczyński zmagał się z odwiecznemi „zmorami“ polskiej wsi, walczył uparcie, ale w matni. I właśnie gdy tam za rampą akcja zagęszczała się i dramatyzowała, gdy padały słowa o ojczyźnie panów i szlachty, o rewolucji, która tworzyła historję, jej kondotjerze Napoleonie, o niepodległym sarmackim despotyzmie, gdy Deczyńskiego i chłopów Brodni coraz ściślej osaczała cicha zmora duchownych i świeckich ramion „ojczyzny“ — symbioza ta wchodziła w fazy kulminacyjne, dogłębne, poprostu do zatarcia granic tych dwóch czynników wiodące zespolenie sceny — chłopów i publiczności — robotników. W śmiertelnej ciszy, rozrywanej niekiedy płaczem dzieci, to znów w zaciekłych, dyszących wrącemi uczuciami, wydartemi z piersi, w której długo już huczały i kotłowały, w głośnych aż chrapliwych okrzykach — „brawo!!!“ i „prawda!!!“.

Warszawa, Lwów, Poznań, reagują najżywiej na dowcip, najgłośniej go oklaskują, czasem kreację. W Warszawie olbrzymie powodzenie zyskało „Lato w Nohant“, sztuka, która nie mówi o współczesnej rzeczywistości polskiej, jej walkach i problemach: w Warszawie, w teatrach T. K. K. T. Tu brakło subtelnej sceny z Lelewelem, młodzi nie czuli się na siłach, po mistrzowsku wypadały sceny zbiorowe — tak trudne jak szkoła i ulice Warszawy, słabo indywidualne, uboga była oprawa, kulała strona techniczna: ale tego nie sądzono, na braki techniczne i chudobę wystawy nie zwracano uwagi. Ci ludzie dawali ostry, frenetyczny poklask scenom, w których mogli dojrzeć swoje uciążliwe życie, zapasy chłopa z temi samemi polipami, które w innej tylko formie niszczą w mieście robotnika. To było żywiołowe i własne, huczało w czasie konspiracyjnego zebrania u Mochnackiego, gromko odpowiadało szyderczej krytyce sytego „narodu“, strzegącego wolności panowania i przewodzenia, o nią chwytającego za broń, raz po raz przerywało Derkaczowi, gdy mówił, że nie pisaniem i nie skargami, nie łaskawością tych, co dobrobyt i wspaniałość swoją na nędzy innych oparli, takie rzeczy przychodzą; gdy opowiadał, jak „na siłę siła w tamtym kraju powstała“... „wtedy stare prawo się wali...“; a w ostatnich sekundach, podczas dramatycznej kontrowersji Kordjana - Felusia, który szedł bić się za „ojczyznę“, bo W. Książę nie dał mu szlifów, z Chamem - Deczyńskim zamieniło się w grzmiącą gwałtownie burzę, przewalającą się rzędami krzeseł po każdem prawie słowie Chama, w ponure, zaciśnięte w sobie milczenie, gdy nauczyciel szkółki elementarnej — nędzny trybun wioski, oddany w sołdaty z ostrzeżeniem „niebezpieczny burzyciel“. padł na bruk warszawski pod kolbą Kordjana.

Po skończonem przedstawieniu, późną już nocą zaszedłem za kulisy. Kruczkowski siedział zamyślony na grubo ciosanym klocu wśród chłopów, którzy dopieroco zeszli ze sceny. Tu nie było sytości oklasków, długo w uszach dzwoniącego aplauzu, sporów o najlepszą kreację aktorską.

Ci ludzie przyjechali wywalczyć embrjonalnemu jeszcze nowemu teatrowi chłopskiemu miejsce w mieście, przerzucić sztuką pierwsze przęsła pomostu kulturalnego między sobą, wsią, a czarnym ludem fabrycznym, przedewszystkiem jednak zadzierzgnąć trwalej węzły braterstwa; przyjechali ze swoim pisarzem, który podczas przedstawienia udzielał im bez przerwy rad i wskazówek, pracował jak inni za kulisami. Było cicho i poważnie, jakby wszyscy odpoczywali po bitwie, wygranej wielkim wysiłkiem w obcem środowisku, bez żadnych środków technicznych. W pustym już teatrze gasły ostatnie światła. Chłopi wynosili co chwila wąciołki i zawiniątka, składali je na wozach, pod siedzeniami, w „literkach“. W tych szmatach, koszach i paczkach, na tych furach, mieściły się ich kostjumy i dekoracje. Chyba gdzieś już nad ranem wrócili do podprzeworskiej Markowej i zaraz, najwyżej po jakiejś godzinie snu poszli do pracy w polu. Okopywać kartofle, wyrzucać gnój ze stajen, paść krowy. Artyści „Teatru Ludowego“ z Markowej, którzy jeszcze wieczorem odgrywali role Kordjanów i Chamów w skąpem świetle przemyskich kinkietów.

Z POEZJI UKRAIŃSKIEJ

JURIJ DARAHAN

* * *

Kozacki śpiew pod niebem zwisł,
Nocnego stepu wolne ptaszę,
Sam wiesz, że świetne szczęście nasze
Na ostrzach szabel drży i spis.

Do nogi śpiących w taki czas
Wyrżną, patrz — tatar kosooki
Nurkuje w falach traw jak okoń
I spoza mogił śledzi nas.

Ty o Stambule nucisz pieśń,
O lasach, o niewolnych doli,
Co z jękiem budzą się w niewoli,
A z Ukrainy wiatr dmie gdzieś.

I ciężko, łez nic nie ukoi,
Mgły tuman złoty już się wzbił,
Oj, ściśnie arkan z całych sił
To rozśpiewane gardło twoje.

NATALA LIWYĆKA CHOŁODNA

STEPOWA BAJKA

Znów zakochana, znów coś brak,
To pana serce ujrzeć chciało.
Pan kiedyś kochał mnie, czy tak?
Lubiłam Pana... Bardzo? Mało?
Może i nie. Lecz słowom wbrew
Wzrok Pana lśni, jak gwiezdne złoto,
A wiosna i tatarska krew
Znów niedorzeczną bajkę plotą.

Step, ukraiński step się śni,
Cwał koński, dziki wróg, step w dymach,
Poza plecyma łuny i
Jęki i krzyki za plecyma.
I krwawa twarz jest strasznym snem
I dymu chmura w śnie tym parzy...
I w taką ciemną noc, ja wiem,
W me usta wpije się tatarzyn.

I ja wiem, ból mnie będzie żarł
I wiem — srom mnie sparzy ogniście
I pokusy przesłodkiej żar
I mrok, czarny mrok nienawiści.
I na ustach krwi będzie smak,
I w sercu złej rozpaczy ostrze,
Gdy jak chyży, ogromny ptak
Żądza dzika skrzydła rozpostrze.

Tak, ja wiem, to pana był wzrok,
Pana oczy tatarskie, ostre
W noc tajemną lśniły przez mrok,
Tak, tej nocy uśmiech mi niosły.

Tak, wiem dobrze, wiem dobrze, że
Słodko było zwać cię swym panem
I jak w dziwnym, obłędnym śnie
Pocałunkiem palić pijanym.

Ale potem, gdy wiosna szła,
Gdy tętniła dźwięcznie w przestworach,
Znów nienawiść dzika do dna
Przepaliła duszę — jak zmora.
Czy pamięta pan? — Noc... i trzask
Błyskawic jak skrzydeł nad nami?
Oczu twoich martwy, zły blask
Zakryłam na wieki ustami.

JEWHEN MAŁANIUK

NAPIS NA KSIĘDZE WIERSZY

Napięty i niezłomnie dumny
Strof imperator stalny rząd
Tych wierszy wiodę jak kolumny
Wprost na katastrof twórczych front.
Za mną spalony tli Baturyn,
Obłęd się wzbija w chmurzysk kłąb, —
A wiersze spiżem — morituri —
Przyszłemu cześć wyrzucą z trąb.
Ciężkie i muskularne stopy
Jamb prężny odbijają dniom
Rzeczywistości, nie utopji,
I grzmi dytyramb ten jak grom.
I ot, buławy błyskiem prostym
Kieruję tylko wprzód ich krok:
Nie lot to jeszcze, lecz już postęp,
A on zasłony przedrze mrok.
On mroku zwał na wylot przetnie,
Ty, mój następco, ujrzysz, jak
Przez zwały prochu tysiącletnie
W przestrzeń ogromny pójdzie szlak.
Wzrok lotów jakich śledził metę,
Czem serce biło z całych sił,
Czemu mój stylos był sztyletem,
Czemu stylosem sztylet był.

ŁEONID MOSENDZ

POWRÓT

Spójrzno! Tam, daleko wiatry żagle niosą!
— Nie, to tylko rozpięły skrzydła albatrosy,
To nie żagle, nie!

Spójrzno! Tam na maszcie: to ojczysta flaga!
— Nie, to flaming barwny z wiatrami się zmaga,
Ziemi dotknąć chce.

Nie czekaj! Nie wrócą! Zapomnij na wieki,
Nie dojdzie cię więcej krzyk witań daleki,
Już wszystko na dnie.

Ich ocean chciwy rad witał, gdy chłonął
W podwodnych obszarów ogrody zielone,
W ciemne głębie swe.

I płacz i śmiech na nic — nie wrócą, to szkoda!
Nikt dotąd nie płakał, kto z mego był rodu,
I śmiech nie wiem gdzie.

Nam jedno — wyprawę znów wysłać gotową,
Za morza wyprawić i czekać nanowo
Na powrotu dnie.

O. OLŻYCZ

* * *

Krwawiła ziemia przez dwanaście lat,
Aż odrętwiałym stała się kamieniem.
A na spalone pola jak siew padł
Ród niekarnego pokolenia.

O ciepło piersi stwardniałych i serc
Próżno błagały niemowlęce lica,
Więc czarne łono dała im na żer
Epoka sroga jak wilczyca.

Dziś deszcze, wichry wieją wzdłuż i wszerz,
Kudłate chmury, lat szalonych taniec.
Lecz rosną w norach, które kryje zmierzch,
Bracia ogromni i nieubłagani.

OŁEKSANDER OŁEŚ

PIEŚŃ ŚLEPYCH

(Etuda)

Dajcie ślepym, dajcie ociemniałym,
Dajcie.
Dajcie tym, których dotknął Pan sprawiedliwy,
Dajcie.

Bo świat nam zakryto czarnemi chmurami,
Bo nam słonko jasne jeszcze nie świeciło...
Do trumny go oczy nie będą widziały...
Dajcie ślepym, dajcie ociemniałym.

Skrzypią wozy, dudnią konie,
Szumią ludzie, szumią rzeką,
Takie cuda na jarmarku,
Taki cud po cudzie!
Szumią ludzie,
Szumią rzeką,
Tylko nam się lały
Łzy, biednym kalekom...
Oczy płakały,
Świata nie widziały...
Dajcie ślepym,
Dajcie ociemniałym.

przełożył
TADEUSZ HOLLENDER

SYDONJA AMARANTÓWNA

ŚMIERĆ W ZAKŁADZIE

Felek umarł. Dzieci nie mogą tego pojąć. Jeszcze w ubiegłym tygodniu miał dyżur przy obiedzie i wsunął Fryckowi z bielmem na oku naddziobaną kukurydzę, wskutek czego starsza siostra Frycka, Julka, przysięgła w szatni wobec świadków, że dopóki płynie czerwona krew w jej żyłach nie przemówi więcej ani słowa do Felkowej siostry — Heli. A przed paru dniami strącił kulą wszystkie kręgle. Razem z królem. Nawet Stefek mówił, że to nieważne, bo był wiatr; posprzeczali się o to i pan musiał sprawę rozstrzygnąć.

Dzieciom trudno jest uwierzyć, że już Felka nigdy nie zobaczą. Przecież jeszcze niedalej jak kilka dni temu miał dyżur przy obiedzie roznosił blaszane miseczki z pomidorową zupą, bo to był czwartek, i nawet pani gospodyni zwróciła mu uwagę, żeby nie chwytał odrazu dwóch talerzy, bo macza palec w zupie, a to nie barszcz na kościach a zwykła polewka. Najgłośniej śmiał się z tego dowcipu Heniek, w którego czwórce był Felek drużynowym. Felka niema. To znaczy, że już nigdy a nigdy a nigdy, żeby zawołać wszystkich lekarzy na całym świecie, żeby go sam pan dyrektor prosił na klęczkach, żeby go mianowali komendantem drużyny i nawet gdyby się zgłosił jego ojciec, który jeszcze przed urodzeniem się Felka wywędrował do Ameryki, i przywiózł mu prawdziwe rękawice bokserskie — Felek nie wróci. Strasznie trudno pojąć, że kogoś więcej niema. Jak to jest?...

Gdy spuchł tak okropnie i musiał się przenieść do infirmerji, orzekł Julek, że to nieomylny znak zapalenia okostnej; Julek zaś był wyrocznią w sprawach zdrowotnych od czasu, kiedy pan dyrektor przyrzekł umieścić chłopca po wakacjach u optyka. Na jego polecenie Felek płukał szałwią i kpił z poleceń lekarza zakładowego. W duchu jednak trochę się bał, zwłaszcza gdy go zabrali do szpitala. Oddał na przechowanie wbrew przewidywaniu i ku śmiertelnej obrazie swojego najlepszego przyjaciela Janka, zeszyt z markami panu, a swoją porcję gruszek polecił dać nie własnej siostrze, a kulawemu Miśkowi. Cały zakład był zgorszony.

Dziś rano dali znać ze szpitala, że Felek umarł. Na nerki. Pan dyrektor zwołał dzieci do świetlicy i miał przemowę: że odszedł od nich nazawsze ich kolega, że był dobrym uczniem i bratem (Hela wiedziała, co się należy, i mimo gruszek głośno chlipała), że taki los czeka wszystkich ludzi i że Felek jest o tyle szczęśliwszy, że bez grzechu jeszcze (miał 13 lat) opuścił ten padół płaczu. Przy tych słowach pan dyrektor sam się wzruszył, zdjął okulary i otarł chustką (kraciastą, koloru rumba) oczy. Wszystkie starsze dzieci wezmą udział w pogrzebie.

Pan dyrektor się śpieszył. Świadectwo zgonu, miejsce na cmentarzu, jeszcze raz przećwiczyć z dziećmi pieśń żałobną — każdy ma swego konika, jego jest chór na trzy głosy — zamówić trumnę, zawiadomić rodzinę... Czy Felek miał jakąś bliższą rodzinę? — Trzeba zajrzeć do jego karty indywidualnej... Jaki był właściwie ten Felek?... Był już sześć lat w zakładzie... nie pięć... a może przecież sześć, wtedy właśnie Bronek, mój Bronek, poprawił się w myślach miał kur i nie pojechali z Zosią do Jaremcza... Jaki był właściwie ten Felek.. nie sprawiał specjalnego kłopotu... repetować nie repetował... zdaje się, że się w niczem specjalnie nie wybijał. Przeciętny. Kto stłukł szybę na wiosnę w kancelarji, Felek? — Drugi głos. Słaby. Zdaje się, że flegmatyk. W księdze głównej zapisany pod pozycją 167. No, pamięć nie zawodzi.

Hela płacze. Jest wzruszona, podniecona, ważna; ba, można powiedzieć, że po Felku dzisiaj pierwsza osoba w zakładzie. Przecie najbliższa krewna zmarłego. Pani gospodyni, która zwykle gna dzieci z kuchni, pogłaskała ją po głowie i dała dużą gruszkę; Hela po dotyku poznaje, że to nie taka zwykła nadbita, ale prawdziwa, zerwana z drzewa, jak dla gości, albo dla samej pani dyrektorowej. Tylko szkoda, że nie może jej zaraz zjeść. Wypadałoby nawet dać ją pierwszej z brzegu dziewczynce, aby wykazać, że całe życie straciło swój urok. Tylko komu? Józi... Zosi... Cesi... Myszce...

Frycka siostra, Julka, daruje Heli normę do włosów. Wobec śmierci Felka zbladła krzywda wyrządzona bratu. Dziewczynki obijają się o zaszczyt pożyczenia Heli chustki do nosa na pogrzeb. Musi wziąć dwie i przynieść obie mokre do wykręcenia. Tak wypada. Dzieci mają dobry wzrok.

Poszli. Parami, spokojnie, poważnie. Starsze dzieci, pan dyrektor, pan wychowawca, pan instruktor, pani praktykantka. W zakładzie zostały „małe" z panią. Pani musi zabawić wszystkie dzieci; boją się. Garną się do niej jak stado kurcząt. — ...Dawno, dawno temu żył sobie król... Jaki był właściwie ten Felek... Mało go znała... chłopiec... Heli brat... Ta Hela, ma z nią kłopot, chciałaby się do niej naprawdę przekonać, cóż kiedy nie może jakoś nabrać do niej zaufania. Nieszczera, łakoma, kłótliwa, płytka... ale Felek, pozatem, że to brat Heli, jaki był właściwie ten Felek...

Erliczki, perliczki, czerwone guziczki, na kogo wypadnie na tego bęc... Piłka toczy się przez gorliwie strzeżony trawnik, ogrodnikowi pod nogi. Ot, dzieci, łobuziaki. żyje taki, krzyczy, dokazuje, umiera... Jaki był właściwie ten Felek. No, pochowają go z paradą, że niejednemu z cechu nawet się nie przyśni... Czy to ten rudy... nie, chyba będzie ten zezowaty, co też mówi, tego dopiero dzisiaj ściągnął pasem, bo rzucał, psia jego mać, kamieniami za Lordem. Aż podkurczył pod siebie ogon, a wiadomo, że pies zły jak czort i nikogo się nie boi... nie, nie... wieczne odpoczywanie... to chyba będzie ten spokoj-

Przeciw łupieżowi i wypadaniu włosów
tylko OLEUM PETRAE „GLIMAR"
preparat zbadany z wynikiem dodatnim na klinikach dermatologicznych i przez licznych lekarzy-specjalistów, polecany na podstawie doświadczeń naukowych i praktycznych
Łuszczenie się naskórka po użyciu
OLEUM PETRAE „GLIMAR"
dowodzi, że nadmiar tłuszczu wymaga wielokrotnego stosowania preparatu aż do zupełnego zaniku łupieżu.
Żądać w aptekach i perfumeriach
OLEUM PETRAE „GLIMAR"
wraz z orzeczeniami lekarskimi.

ny z ciemną czupryną. Grzeczny był, psa nie drażnił, wiadomo, że co najlepsze to idzie... wieczne odpoczywanie... nawet przez płot nie lazł, a gruszki... na gruszki to się pewnie wybierał z innymi... łobuzy jeden z drugim.

Dyżurne nakrywają do stołu. Oj umarł Felek, umarł. Dziewczynkom nie dokuczał, śpiewał w chórze drugim głosem, a jak płynnie czytał! Był drużynowym w swojej czwórce. A jakie miał dobre świadectwa! Widziałaś, jak pan dyrektor płakał!... żebym taka zdrowa była, że widziałam, na własne oczy, zdjął okulary i wycierał chustką oczy... a przy rzucaniu kuli mrużył zabawnie lewe oko. Feee... grzech... ja powiem pani... o nieboszczyku mówić, że mrużył oko, jeszcze się przyśni.

W kuchni Nastka siecze kapustę, opędza się mokremi rękami od much i zawodzi: *Ja kochać umiem tak jak Tangoliiiiiita.* Pani gospodyni robi knedle. Felek. Pamięta jak dziś. Jak ich ciotka przyprowadziła do zakładu, starego nie było. Bronek miał kur. Stali tu oboje w kuchni. Jak się nazywasz? — „Feeliu". Powiedz: Fe—lek. — Feeliuu.

Ot świat. Gruszki gałgan lubił. Ale kur kamykami nie gonił. Buty to się na nim paliły, że nie nastarczyć. Sierota, biedactwo. Wie to taki doktór, co to komu jest. Raz, dwa i już. Co komu pisane. Ostatnio miał 47-my numer bielizny zakładowej. Kto jest we wzroście Felka?... Dziunek, a może Kuba...

Wieczorem pani praktykantka poszła do domu. Bardzo się spłakała na cmentarzu. Biedny Felek. Smutno zaczęła się dla niej praktyka. Od pogrzebu. Ale nie jest broń Boże zabobonna. Jak zapisać ten dzień w dzienniczku praktyki... bo z psychologicznego punktu widzenia...

Dzieci są już w sypialni. Pan instruktor i pan wychowawca poszli do siebie. Ten Felek. Akurat przed samym popisem... Trzeba nowego bramkarza... Należałoby się przyjrzeć bacznie Józkowi, trochę ospały, ale niema czasu... Czy Felek nie pożyczył ostatnio Londona? Skaranie boskie z tą bibljoteką... trzeba będzie sprawdzić... Ta praktykantka też sobie wyobraża, że zjadła wszystkie rozumy świata... aha, London... jaki był właściwie ten Felek...

W nocy śnił się Heli upalny dzień letni. Cały zakład wyruszył na wycieczkę. Nawet pani dyrektorowa z Bronkiem. Dzieci śpiewały: czerwoooooony paaaaas, za paaaasem brooooon, chłopcy kopali futbal, a pani gospodyni zapakowała dużo, dużo gruszek. Same bery. Ona szła w parze z Lusią i była zła, bo Lusia zapytała ją trzy razy: grünes, gram, pokaż... i Hela akuratnie jak na złość pogryzła listek w ustach, bo myślała, że to szczaw, a to była tymczasem strasznie trująca pokrzywa. Ale zato miała ze sobą swoją piłeczkę gumową, pękniętą w środku; wewnątrz była woda. Za pociśnięciem strzelał w górę wąziutki strumień wody. Piłka była cudowna. Nawet pan instruktor wziął ją od Heli kiedyś (naprawdę) od Heli i opryskał wodą panią praktykantkę i pani praktykantka piszczała, aż strach. Wszystkie dzieci zazdrościły Heli piłki, nawet chłopcy. Felek wyciągnął rękę i zwyczajem zakładowym żebrał:

Przyszła myszka
do świętego Franciszka —
która rączka dała,
żeby ozłociała —
a która nie dała,
żeby sparszywiała...

Ale Hela nie dała. Nie i nie. Uparła się. Cóż z tego, że Felek brat.

A potem był las. Szumiący i zielony i Hela szła, szła, szła, szła, coraz głębiej, drzewa były coraz wyższe i ciemniejsze, ścieżki węższe i gdy się Hela wreszcie oglądnęła, była sama. Całkiem sama. Chciała wołać i nie mogła. Jakby w gardle uwiązł cały knedel ze śliwką.

Siadła na łóżku. Felek... Kto tam stoi koło drzwi. Co to za biała postać w oknie... to nie sen... to było naprawdę... ma jeszcze tę nieszczęsną piłkę, dlaczego nie dała jej bratu... która rączka dała, żeby ozłociała, a która nie dała, żeby sparszywiała... ach żeby Felek chciał wziąć tę piłkę, to było naumyślnie, teraz mu ją da nazawsze, nie chce jej wcale. Nie odbierze i bez powtórzonego trzy razy napomnienia wobec świadków: „Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera". Ale żeby nie wiem jak chciała, to teraz Felek nie weźmie. Bo Felek umarł.

Przyszła myszka do świętego Franciszka... Spotniała, drżąca kucnęła Hela w łóżku. Iść do pani? Będzie się gniewała... Zbudzić dzieci?... Powinna teraz ubrać pantofle i przejść korytarzyk... musi się momentalnie zdecydować, bo inaczej będzie katastrofa. Nie. Nie. Za nic w świecie. Niech będzie co chce. Nie zrobi tego, mimo grożącego jej wstydu i hańby. Sama Genka mówiła, że jak jej babcia umarła, ukazywała się potem przez trzy pierwsze noce. Na samo wspomnienie wstrząsnął nią dreszcz zgrozy. I wtedy stało się. Serce biło mocno z przerażenia i ulgi. Co to jutro będzie za wstyd jak się chłopcy dowiedzą! A pani praktykantka...

Z mokrego prześcieradła powiało chłodem i opuszczeniem.

Popłynęły cienką, gorącą strużką słone łzy. Z ulgi, ze wstydu, z żalu do całego świata, nad sobą, do piłeczki, do Felka, za Felkiem i wtedy dopiero poczuła, że Felka naprawdę niema.

KAROL KURYLUK

POLONEZ

Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki: Polonez. I. Nous, Parisiens. Warszawa 1936.

Tę książkę trzeba czytać przynajmniej dwa razy, żeby móc rozkoszować się jej literacką kunsztownością. Zwłaszcza w dobrem czytaniu głośnem, kiedy nie zatraca się ważności każdego zespołu zdań, każdego nawet wyrazu, kiedy nie prześlizguje się wzrokiem po powierzchni utworu, wtedy dopiero istotne wartości powieści nabierają pełni żywości, krasy, wtedy każda niemal scena, każdy gest człowieka stają się zaokrąglone, wykończone, soczyste. Wtedy zdajemy sobie sprawę, że jako dziełu literackiemu trudno mu cokolwiek zarzucić. Opisy postaci, sytuacyj, scen, ich układ, są tak doskonałe, że możemy je tylko podziwiać.

Rozkoszujemy się pięknem książki, analizujemy jej zalety literackie i artystyczne, otwieramy pierwszą lepszą stronę, aby przeżyć jeszcze raz tę scenę, która nas tak zachwyciła, równocześnie jednak czujemy pewien niepokój. Ta powieść wcale nas nie porwała, nie przekonała, nawet — nie wzruszyła. Podziwiamy nieskazitelne wykończenie, aż do najdrobniejszych szczegółów, tak jak podziwiamy doskonałość greckiej rzeźby, tak jak zachwycamy się starożytną architekturą. Prawda, wszystko wzorowe, a jednak dalekie, nie nasze.

„Polonez" zaczyna się 2 maja 1936 roku. Tłem są konkretne dzieje i sprawy, których sami byliśmy uczestnikami lub świadkami. Wypadki w Częstochowie, Krakowie, Lwowie, wspaniały pochód pierwszomajowy w Warszawie, wybory we Francji, których wyniku oczekuje cały świat, projekt budowy pomnika ku czci Jarosława Dąbrowskiego i Wróblewskiego, bohaterów paryskiej komuny, przyjazd do Polski córki Curie Skłodowskiej — te i inne fakty, to są prawdy rzeczywiste, któremi sami niedawno żyliśmy, albo w których jeszcze dziś tkwimy gorącem wspomnieniem, bo wciąż są żywe i nieskończone. Ludzie powieści tkwią w aktualnej rzeczywistości polskiej, są z niej żywcem wyrwani — wiemy o tem. Sprawy polskie, nad któremi my właśnie boleśnie się biedzimy, stanowią nurt głęboki „Poloneza". Pomimo to jednak nie mamy żywego stosunku do postaci ich spraw, nie odczuwamy, żebyśmy mieli z niemi wiele wspólnego. Nie są nam bliskie.

Powieść została napisana tak, jakby dotyczyła dawnej przeszłości. Stosunek autorów do postaci i spraw, któremi się zajmują, jest czysto historyczny, spokojny, epicki. Są one traktowane z dalekiej odległości, z dystansu dziejopisa, który bierze do ręki dokumenty, ryciny, zapiski, listy tamtych ludzi i tworzy film ich życia. Dziejopisowi chodzi o „prawdę", jest więc doskonale objektywny, nie przejmuje się zbytnio ani jedną, ani drugą, ani trzecią kwestją — są dla niego równie ważne. Dziejopis posiada swoją pracownię, bibljotekę, skład dokumentów, przy ich pomocy uruchamia, przywraca do życia przeszłość. On sam w niej nie uczestniczył, nie jest jej kombatantem, jest natomiast historykiem. Ponieważ nie był jej twórczą częścią, nie posiada więc własnego, osobistego, przeżytego stosunku do niej.

Boguszewska i Kornacki są dziejopisami. I czemś więcej: są jeszcze obserwatorami, badaczami. Jak przyrodnik przy pomocy aparatów powiększających obserwuje życie jakiejś żywej istoty i notuje dokładnie własne spostrzeżenia, dokonane na znajdującem się pod obserwacją stworzeniu, podobnie autorzy „Poloneza" obserwują, poznają, badają ludzi i ich sprawy. Spostrzeżenia i uwagi notują.

Boguszewska i Kornacki są dziejopisami i badaczami. Nie tworzą historji ale ją opisują, nie przeżywają ludzkich „spraw", ale je obserwują, nie walczą po jednej lub po drugiej stronie barykady, ale zdejmują film z toczących się walk.

Stąd właśnie — zdaje się — płynie owo oddalenie, zamglenie postaci i ich spraw. Na zimno, czystą kalkulacją intelektualną wykoncypowane, są dobrze wrośnięte w powieść — nie wrastają jednak w serce i umysł czytelnika. Czytelnik, zwłaszcza ten, który szuka w powieści przeżycia, emocji, wskazówki, oparcia, nie może się przejąć dolą i niedolą ludzkiego losu, który mu pokazują autorzy. Nie zdobędzie się bowiem ani na uczucie sympatji czy pogardy, ani też na współczucie.

Do tej niemożliwości bezpośredniego zżycia się z utworem przyczyniło się być może również to, że został napisany przez dwóch autorów, stanął więc w równej odległości od jednego i drugiego.

* * *

Boguszewska i Kornacki piszą historję Polski dzisiejszej. Z dnia na dzień.

„Polonez" to stary, wielkopański, szlachecki taniec. Muzyka gra, wystrzela wzwyż, pary przesuwają się dostojnie, wyniośle. „W lewo ukłon, w prawo ukłon".

To Polska. Polonez — narodowy taniec. Taniec naszej współczesności. A może tak zawsze było? Na świecie dzieją się wielkie rzeczy: we Francji zwycięża Paryż, Front Ludowy sięga śmiało po władzę, aby decydować o przyszłości kraju, w Hiszpanji przygotowuje się walka na śmierć i życie — w Polsce, zamiast walki kombinacje przy biurku, zamiast barykad, zamiast świadomości czego się chce, do czego się dąży — posuwiście kroczą pary w narodowym tańcu. Wyniośle, dostojnie, nieskończenie. W lewo ukłon, w prawo ukłon. Pary się łączą, znów rozchodzą — naprzód, a potem wtył, w jedną i w drugą stronę. Muzyka wystrzela wzwyż — to się rozgrywa nasz dramat. To Polska.

Chochoł nie umarł. Żyje. Wciąż przygrywa narodowi. Naród nie budzi się z oszołomienia, z tragicznego snu. Kroczy w rytm muzyki, która go kołysze i usypia. W lewo ukłon, w prawo ukłon.

To Polska.

Jeśli co pozostało jeszcze — to dawność, wspomnienie. Rok 1905, 1906, 1914. Walka o niepodległość i walka o sprawiedliwość to jedno. Pospołu. Jeszcze dawniej, ojcowie i dziadowie uchodzili z kraju i walczyli. Za naszą wolność i waszą.

Wspomnienie jest raz podnietą, aby wyrwać się z gnuśnego oszołomienia, pójść za głosem serca, jak tamci, drugi raz jest rozrzewniającem usprawiedliwieniem, że przecież wszystko w porządku.

* * *

Salomea Groer (Izabela Hrykiewicz), wybitna działaczka niepodległościowa, od dziesięciu lat pracuje społecznie. Razem z innymi siedzi przy niepodległym stole, ma przy nim swoje stałe miejsce. W samym środku siedzi, wśród dostojników, w Legjonie Zasłużonych, z pensją miesięczną powyżej tysiąca. Przy nakrytym stole walczy o sprawiedliwość społeczną już od dziesięciu lat. W swoim gabinecie, przy biurku ją „realizuje". I nic z niej nie wychodzi. Po wielu latach Salomea Groer, zawsze bohaterska i niedopuszczająca zwątpienia, czuje, że jest zmęczona i wyczerpana, że to, co dotychczas robiła, poszło na marne. Pracowała w próżni. Jeszcze resztkami sił usiłuje wierzyć, że ludzie, z którymi szła razem, walczą o to samo, co ona — potem i ta wiara w niej zanika. Zamknięta, dumna, niedostępna Salomea Groer, żyjąca dotąd swoją sprawą i jak się jej zdawało sprawą wielu, załamuje się duchowo, kończy się. Będzie w prawdzie pocieszała innych wątpiących i wyczerpanych w beznadziejnej „pracy społecznej" współpracowników, będzie się starała zatrzymać odchodzących, tych, którzy nie zatracili się jeszcze w sobie i pójdą walczyć naprawdę o zmianę ustroju — robi to jednak bez wiary i przekonania. Czuje i wie, że są już inni, młodzi i wierzący, którzy naprawdę walczą o sprawiedliwość społeczną. Ale ci są jej obcy. Nie pójdzie z nimi. Jej samej pozostało wspomnienie młodości — miłość do hiszpańskiego rewolucjonisty.

Salomea Groer to jedna z tych, którzy łączyli swoje nadzieje z majem 1926 roku. Łączyli je szczerze, wierzyli, że oni, ci, którzy walczyli o Polskę niepodległą i sprawiedliwą — nie będą mogli zdradzić swoich dawnych ideałów, że trzeba tylko im pomóc, a razem dokonają wielkich rzeczy. Marzenia się rozbiły. T. zw. sanacja jako zjawisko społeczne była zlepkiem, czemś anormalnem, sztucznem, nie mającem szans istnienia. I gdy poszła coraz bardziej na prawo, straciwszy swoją jedyną ostoję, jej lewica została na lodzie. Część poszła z prądem, mając frazes na ustach, że swoich przekonań nie zmieniła, zmieniły się natomiast warunki, do których należy się dostosować, reszta — uczciwsza — zmaltretowana i bez przyszłości, rozsypała się. Nie było tego, który ich skupiał i prowadził.

Cyprjan Hrykiewicz, wytworny powieściopisarz, kobieciarz, zamożny wygodniś, zapala się w pewnej chwili myślą wydania „Dialogów paryskich" swego ojca, tego ojca, który walczył w r. 1870 na barykadach komuny, zamierza wydawać niezależne pismo polityczne, pertraktuje z pisarzami, ale wkrótce zniechęca się — nie jest stworzony do walki, trudu, wysiłku. Nie posiada idei, posiada tylko zachcianki. Jego zapał rozpłynie się w nieobowiązującem do niczego pisaniu powieści. Znalazł jeszcze jeden temat.

Tych dwoje, siostra i brat, wysuwają się na pierwszy plan. Obok nich idzie Klaudjusz, nie posiadający już marzeń społecznych, myślący tylko o sobie, łagodny i poczciwy, przeciętny. Weronika Aktyl, cała oddana „najdroższej pani Salomei", dziewczyna dobra i szlachetna, sercem tylko mierząca swój stosunek do innych ludzi — zakochała się pierwszą w życiu miłością w bezrobotnym Antonim Czarnieckim. Czarniecki był inny, niż się zdawało jego opiekunom społecznym. Czarniecki jest złodziejem. Kradnie. Zabija. Czy można robić co innego, gdy jest się niczem, gdy przebywa się na peryferjach życia, gdy nie ma się co jeść? Czarniecki przekroczył tę granicę. Człowiekiem „normalnym" już nie będzie. Stoczył się. Propaganda antysemicka i nacjonalistyczna, broszury i pisemka najgorszego gatunku — to trafia do niego.

Czarniecki — to dół. Piotr, Razowiec, Lea i Stanisław Nowak, jej mąż — to druga strona barykady, walcząca i zdobywcza. To ci, którzy walczą o nowy ustrój, o sprawiedliwość społeczną. Bliżej przedstawiona jest Lea. Gwałtowna, surowa, posiada delikatną czułość, której nie oblicza na efekt zewnętrzny, niezależna zarówno w przekonaniach jak i w postępowaniu, kocha swych najbliższych najbardziej oddaną miłością, drapieżną, nieokrzesaną i pierwotną.

Są jeszcze inni. Są jeszcze ich sprawy. Nie mówmy o wszystkiem. Może wnioski nasze będą fał-

JERZY WYSZOMIRSKI

SKOCZYLAS I SOBOLEW

1. W czerwcowym numerze „Sygnałów", w rubryce „Przegląd prasy", umieszczono urywek z artykułu prof. Ludwika Skoczylasa, drukowanego w „Przeglądzie Powszechnym" pt. „Szkoła przyszłości". Urywek streszcza postulaty wychowawcze prof. Skoczylasa. Są one, jak zauważyły „Sygnały", „jasnym i konkretnym programem klerykalizmu polskiego na najbliższy okres". Postulaty prof. Skoczylasa zacytował również „Robotnik" dn. 17 czerwca, zaopatrując je w komentarz tej treści: „W razie ich zaspokojenia, szkolnictwo polskie cofnęłoby się beznadziejnie w ponure mroki czasów saskich, a jakie byłyby konsekwencje polityczne i państwowe takiej katastrofy, dowodzić nie trzeba". Jak widać z obaw „Robotnika", program reformy szkolnictwa polskiego, obmyślony przez prof. Skoczylasa, jest groźny i katastroficzny. Na czem on ściśle polega? Prof. Skoczylas żąda katolickiej szkoły wyznaniowej. To wszystko, i z takiego żądania wypływa również to wszystko, co w praktyce może doprowadzić do powrotu „czasów saskich". Program prof. Skoczylasa nie jest nowy. Rozwinął go już raz, szczegółowo i dokładnie, w broszurze, wydanej roku ubiegłego pt. „Szkoła polska na rozdrożu". Wobec zainteresowania, jakie obudził jego ostatni artykuł w „Przeglądzie Powszechnym", niech mi wolno będzie przypomnieć jego zeszłoroczną broszurę.

2. Przed paru laty zdobyła niesławny rozgłos książka, wydana w Wilnie „za zewoleniem władzy duchownej", pt. „O karaniu wychowawczem". Autorem jej był niejaki p. Sobolew, pedagog z zawodu, z nazwiska Rosjanin, natione Polonus i żarliwy katolik z przekonania. Książką jego zajęto się w wielu artykułach — ze zdumieniem i oburzeniem. I nic dziwnego, p. Sobolew bowiem oświadczył się w swej „rozprawie pedagogicznej" jako zwolennik bicia, czyli — jak się wyraził eufemicznie — „zabiegu kary cielesnej". Bez tego zabiegu wychowanie, zdaniem jego, nie może dać pozytywnych rezultatów; chłosta jest czemś w rodzaju *ancillae educationis*, jak scholastyka była *ancilla theologiae;* jeśli zaniedbamy chłosty, doczekamy się przeraźliwego upadku moralnego młodzieży i okropnych czasów zepsucia, albowiem już „Księga Przypowieści" poucza, że tylko „biciem duszę człowieka z piekieł wybawisz", a w innem miejscu Pismo przestrzega: „Kto oszczędza rózgi, nienawidzi syna swego". Toteż p. Sobolew podawał rozmaite sposoby „wybawiania duszy": linijką po palcach, suchą rózgą i moczoną w wodzie, z układaniem się pokornem delikwenta na ławie tortury, z obnażaniem przezeń własną ręką tych części ciała, gdzie chłosta będzie wymierzona itp. Jednocześnie wykładał, jak ma się zachowywać wykonawca kary: nie oprawca, lecz nauczyciel czyli przewodnik duchowy młodzieży. Musi oto rozniecać w sobie ojcowskie i podniosłe uczucia, powtarzając w duszy, że dla dobra skazańca czyni te wszystkie zabiegi. P. Sobolewem kierowały, jak widać, wysokie pobudki religijne, które sprowadziły go na drogę najniższych perwersyj i sadyzmu. Był to zapewne człowiek zboczony, aczkolwiek we własnem przekonaniu wydawał się sobie mądrym i moralnym. Niechby się sobie wydawał, jakim chciał: co do czytelnika, mógł on ubolewać nad nim lub zabawić się jego kosztem. Ale nastąpił fakt wielkiej wagi: książka p. Sobolewa otrzymała *imprimatur* wileńskiej kurji metropolitarnej, i tym sposobem władza duchowna nietylko podzieliła jego poglądy, ale i zachęciła opinję publiczną do wcielania ich w życie — do „realizacji", jak to się dzisiaj mówi.

3. Broszura prof. Ludwika Skoczylasa p. t. „Szkoła polska na rozdrożu" ma zewnętrznie tę cechę wspólną z książką prof. Sobolewa, że nosi aprobatę władzy duchownej jako wydawnictwo księży jezuitów. Prof. Skoczylas przekonywa czytelnika, że jedynym dla szkoły polskiej wyjściem z rozdroża jest stworzenie katolickiej szkoły wyznaniowej i założenie powszechnego „Katolickiego Związku Nauczycieli Polaków", oczywista *sub auspiciis* swoich wydawców. Związek będzie musiał według wyrażenia prof. Skoczylasa — „z konieczności przyłożyć siekierę do korzenia", aby w duchu katolickim przeprowadzić reorganizację wychowania. Gdyby zaś — co nie daj Boże — znaleźli się w Polsce rodzice, przeciwni takiej reorganizacji czyli „oporni", podda się ich „sankcjom karnym".

Rzecz prosta, w zasadzie nic nie można mieć przeciwko temu, by rozwijała się katolicka szkoła wyznaniowa, pod warunkiem jednak, aby obok niej istniała prawosławna, ewangelicka, żydowska i t. d. i t. d. Niektóre zresztą szkoły tego typu mamy w Polsce. Ale dobrzeby było, gdyby narówni z tamtemi mogły powstawać i szkoły bezwyznaniowe dla tych, którzy nie chcą zaliczać siebie do żadnego kościoła. Natomiast byłoby źle, gdy państwo miało popierać wyłącznie katolicką szkołę, prześladując inne, a to właśnie jest celem prof. Skoczylasa. Źle byłoby także, gdyby, uprzywilejowawszy Związek Nauczycieli Katolickich, zakazano tworzyć związki nauczycieli innowierców, a prof. Skoczylas dąży właśnie do wyłączności i wszechwładzy nauczycielstwa katolickiego. Gdyby nawet (o polska tolerancjo!) tyle różnych szkół i związków wyznaniowych powstało, wrócilibyśmy do epoki wojen religijnych i, naturalnie, obywatele nie wyszliby na nich dobrze. Ostatecznie więc należałoby dojść do wniosku, że szczęśliwiej jest, gdy szkół i związków wyznaniowych niema. Trudno jednak przekonać prof. Skoczylasa. Przejdźmy więc do porządku nad jego projektem reorganizacji szkolnictwa. Ciekawsze i godne rozmyślań są obserwacje, jakie nad współczesną szkołą polską i młodzieżą polską poczynił prof. Skoczylas — pedagog i przewodnik duchowy.

4. Metoda, którą się posługuje prof. Skoczylas, jest bardzo prosta: poszczególny wypadek w jakiejś szkole, pojedynczy wybryk jakiegoś ucznia, jedno zdanie z jakiegoś pisemka szkolnego, jakaś uwaga lekarza szkolnego o przypadku choroby wenerycznej w gimnazjum — fakty więc sporadyczne, niesprawdzone dostatecznie i podane przez samego prof. Skoczylasa ogólnikowo, pozwalają mu na generalizowanie występków i wyciąganie daleko idących wniosków. Jest to metoda kaznodziei wiejskiego, dla którego kura skradziona Maćkowi przez Bartka, lub uwiedzenie Kaśki przez Jaśka staje się wdzięcznym tematem do kazania, wieszczącego światu zagładę. Można jej wszelako uniknąć, i wiemy dobrze, pod jakim warunkiem. Prof. Skoczylas stawia nam również warunki, które wypełnić musimy pod grozą „sankcyj karnych", albowiem tak, jak jest, dalej być nie może, bo młodzież polska jest: 1) bezbożna, 2) skomunizowana, 3) złodziejska, 4) pijacka, 5) „rozwydrzona płciowo". Takie są uogólnione obserwacje prof. Skoczylasa, z których wyciąga on następujący kaznodziejski wniosek: „Na rezultaty tej deprawacji niedługo będziemy czekali: wzmożona przestępczość w wieku młodocianym, zatrucie krwi i degeneracja narodu, osłabienie ośrodków woli i energji narodowej, wzrost chorób i przedwczesny zanik sił zarówno fizycznych jak i moralnych" — oto plon, jaki przyniesie szkoła polska.

5. Ze wszystkich występków młodzieży polskiej najbardziej, jak się zdaje, interesuje prof. Skoczylasa „rozwydrzenie płciowe". Terminem tym obejmuje on: przedwczesne rozpoczęcie życia płciowego i jego „jakość" czyli „przejawy wszelkich rodzajów perwersji"; rozpasanie i rozpustę; zgorszenie publiczne, wypadki ciąży śród uczenic; choroby weneryczne; homoseksualizm; nakoniec zbiorowy grzech nudyzmu. W tym momencie możnaby zacząć z prof. Skoczylasem dyskusję, bo rzeczywiście coś nie jest w porządku. Pytanie tylko: młodzież czy niektórzy z jej wychowawców? I pytanie drugie: co rozumie prof. Skoczylas przez „przykładanie siekiery do korzenia" i w jaki sposób, gdyby mu pozwolono zreorganizować szkolnictwo, rozpocząłby „naprawę" oraz „nawracanie" młodzieży, by „odpowiedzieć przed Bogiem za wychowanie swych dzieci"?

Chcąc nie chcąc, rodzi się przypuszczenie, że sięgnąłby po książkę prof. Sobolewa, wydaną za zezwoleniem władzy duchownej, i oddałby się studjom nad rozmaitemi możliwościami „wybawiania duszy": suchą rózgą i moczoną w słonej wodzie, z układaniem się pokornem delikwenta na ławie tortur... A potem wzdychałby, że dla dobra skazańca musi czynić te zabiegi.

---

szywe — „Nous, Parisiens" stanowi pierwszy tom czterotomowego cyklu.

Przesuną się przed nami zapewne jeszcze inne postacie. Poznane już pogłębią się, nabiorą wszechstronności. Ukaże się galerja ludzi dzisiejszej Ojczyzny: czem jest dla każdego z nich ta Ojczyzna, jak ją sobie wyobraża, czego od niej oczekuje.

Przesuną się w fanfarach poloneza — potoczyście, barwnie — ci wszyscy, którzy przedłużyli w Polskę współczesną, szlachecką przeszłość i nie mogą się wydobyć spod jej uroku.

W lewo ukłon, w prawo ukłon...

Karol Kuryluk

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

KATOLICYZM W PRAKTYCE

W tegorocznym czerwcowym numerze miesięcznika „Wiara i Życie" znalazł się wysoce interesujący, rzeczowy i ładnie napisany artykuł dra Apolinarego Żukowskiego „Ostatnie encykliki a prasa liberalna", a w nim autor streszcza mój artykuł „Koniec świata" (numer majowy „Sygnałów"), ocenia go z nieoczekiwaną ujmującą życzliwością i wreszcie rzuca pytanie: „Dlaczego w tym hymnie pochwalnym na cześć wolności człowieka niema ani słowa, że w obronie tej wolności wystąpił właśnie najwyższy autorytet moralny na ziemi, autorytet, uznawany nietylko przez miljonowe zastępy katolików, ale także przez rzesze innowierców i niewierzących, dlaczego przemilczano, że w imię tej wolności kościół krwawi się nietylko w Rosji sowieckiej, w Meksyku i w Hiszpanji, ale także w Hitlerji. Różne możnaby snuć przypuszczenia: może dlatego, że Hulka - Laskowski jest protestantem — wątpimy, by to był prawdziwy powód, a może nie zapoznał się jeszcze z encyklikami? I w to trudno uwierzyć, gdy się wie, jak wszechstronne są zainteresowania tego pisarza. Więc zapewne fakt, że pisał do marxistowskich „Sygnałów". Na słuszność tego przypuszczenia zdaje się wskazywać fakt, że wśród wrogów wolności ducha ludzkiego wymienił tylko faszyzmy, hitleryzmy i rexizmy, a pominął milczeniem komunizm. Tak czy inaczej, zignorowanie roli katolicyzmu w dzisiejszej walce o prawa człowieka jest jeszcze jednym z dowodów stronniczej postawy prasy tak zwanej liberalnej i marxistowskiej".

Ten ustęp artykułu dotyczy mnie bezpośrednio i dlatego nań odpowiem. Przedewszystkiem przyznam się lojalnie, że delikatne sformułowanie uwag dra Żukowskiego, życzliwe i uprzejme podejście do mnie jako do ideowego przeciwnika wzruszyły mnie i zaskoczyły. Ileż to razy przedstawiciele tego obozu, który reprezentuje dr Żukowski, wyrzucali mnie za mój kalwinizm (wrodzony, nie rozwodowy!) z narodu, ileż razy podejrzewali mnie o rzeczy najgorsze, ile niegodziwości imputowali mi przygodnie!... I nagle takie życzliwe słowa, taka ujmująca postawa. Za tę miłą niespodziankę dziękuję doktorowi Żukowskiemu uprzejmie, a na jego pytania pragnę mu odpowiedzieć tak szczerze i rzetelnie, jak rzetelne są jego pytania.

Nie, mój kalwinizm nie przeszkadza mi w obcowaniu z wybitnymi przedstawicielami świata katolickiego, których pisma czytuję uważnie i od których uczę się przygodnie. Encykliki papieskie, jako przejaw życia religijnego naszego świata, oczywiście znam. Dlaczego o nich nie wspominam w swoich pracach? Dlaczego nie wspominają o nich pisarze inni? Niema tu bynajmniej jakiegoś lekceważenia czy uprzedzenia, ale zdaje mi się, że pisarze, obejmowani mianem „liberalnych", do katolicyzmu podchodzą raczej od strony praktyki powszedniej, niż od strony uroczystych encyklik papieskich. Jeśli mam być szczery, to powiem, że między zasadami głoszonemi w encyklikach a praktyką życiową istnieje wielka rozbieżność. Pragnę być zawsze lojalny: ilekroć ze strony katolika, choćby tylko imiennego, spotyka mnie coś miłego, skwapliwie zapisuję to na rzecz jego katolicyzmu, ilekroć spotyka mnie co przykrego, zapisuję to na rzecz jego niewyrobienia kulturalnego, ale dziwię się czasem, że ludzie, którym drogie są zasady miłości i miłosierdzia głoszone przez kościół katolicki, tak często bywają okrutni, niedelikatni, tak mało wierzą w potęgę miłości, tak wyłącznie wierzą w przemoc, czasem w pałkę i kastet. Nikt nie zakwestjonuje teorji katolickiej, ale jakże często razi nas i boli praktyka — nie chcę powiedzieć katolicka, ale powiem: praktyka katolików. Właśnie w tej praktyce życiowej nie dostrzegamy uchwytnych wpływów encyklik, listów pasterskich, napomnień kaznodziejskich i dlatego mamy wrażenie, że encykliki papieskie są czemś tragicznie pozadziejowem.

Wolność duszy ludzkiej to wielka rzecz: od niej zależy wszystko. Tylko wolni tworzą wielkie, wspaniałe dzieje, tylko wolni odkrywają nowe prawdy i nowe światy. Ale nam tak trudno zapomnieć, że Kopernik jest dotychczas na indeksie rzymskim, że Galileusz został potępiony i zmuszony do milczenia, że kościół nauczający tak często stawał się instytucją władczą, rozkazującą, unikającą wszelkiej dyskusji, wszelkiej próby przekonania czy to heretyków czy uczonych, gdy mógł się z nimi załatwić przy pomocy ramienia świeckiego. Mówił o tem Adam Mickiewicz w swoich wykładach literatur słowiańskich, ubolewał nad tem Seweryn Goszczyński, narzekało na to tylu wiernych synów kościoła katolickiego. Mówili przygodnie, że za ten stan rzeczy odpowiada nie katolicyzm, ale romanizm. Powstawało wszakże tylko nowe zagadnienie romanizmu i jego stosunku do katolicyzmu.

Wolność duszy ludzkiej rozumiemy tak, że np. badacz pewnej dziedziny zjawisk — dajmy na to religijnych — wypowiada się o tem, do czego doszedł w swoich badaniach, a badacze, których doświadczenia są inne, dyskutują z nim albo go poddają surowej krytyce. Ale mnie np. spotkała taka rzecz: przed dziewięciu laty wydałem drukiem niewielką pracę „Matka Jezusa, matki bogów, królowie niebios". Oparłem się na materjale najlepszym, podałem źródła. Przez dziewięć lat książeczka, która zresztą nie wzbudziła większego zainteresowania, była w handlu księgarskim i nikogo nie raziła. Był to uczciwy wyraz poznania naukowego. Przed paru miesiącami książeczka ta została skonfiskowana. Po dziewięciu latach! Dowiedziałem się o konfiskacie z gazet. Wolność duszy ludzkiej? Jakże chętnie byłbym wysłuchał krytyk erudytów, którzy byliby mi wykazali, że się mylę, że nie mam racji,

LEON KALTENBERGH

HISTORYZM Z PRZEDWCZORAJ

Europejski romantyzm przyniósł z sobą historyczność jako czynnik dekoracyjny, romantyczny i obrazowo-barwny.

Spojrzenie w przeszłość nie oznaczało u romantyków rzeczowego przeglądu tego, co minęło. W wielu wypadkach barwny przepych średniowiecza stawał się nawet nie ramą, w którą oprawiano literacką intrygę, ale wprost ornamentem na ramie, zastępującym egzotykę przeszłości. Niekiedy zdarzało się, że ramy przerastały barwą i walorami kompozycyjnemi obraz, o który autorowi szło najbardziej. Tak było u Walter Scotta i u Wiktora Hugo: romantyczna, zewnętrzna historyczność nie była historyzmem w nowoczesnem pojęciu tego słowa jako kompozycyjny, gotowy schemat literacki, jako świadome kształtowanie stosunku dzisiejszości do czasów przeszłych i jako świadoma idealizacja lub też demaskowanie historycznej legendy.

Historyczność była dla romantyków tylko tłem do literackiej intrygi, której, dla uwypuklenia w duchu epoki, nadawano cechy obyczajowości i kostjumowości innej, niż ta powszednia, bliska czytelnikowi. Autor zdobywa się niekiedy na rewizjonizm w stosunku do postaci historycznych, zwłaszcza wtedy, gdy nie mieściły się one w ramach przyjętego schematu lub intrygi utworu. Modyfikacje i rewizjonizmy przeprowadzano jednak nie w imię rzeczowej kontroli t. zw. prawdy dziejowej, lecz jedynie w celach artystycznych. Historja to nie rzeczowo komentowany, wyjaśniany i poddawany pod dyskusję proces, lecz przypadkowy schemat kompozycyjny, dostosowywany do także przpadkowej fabuły pozahistorycznej.

Inaczej ma się rzecz, jeżeli chodzi o powieść historyzującą. Jest ona zasadniczo rodzajem powieści psychologicznej (przyczem postaci są wmontowane w tło historyczne, a ich działanie można umotywować t. zw. duchem epoki). Tu historja spełnia tylko rolę kolorytu.

Wreszcie powieść historyczna, uprawiana przez Kraszewskiego w Polsce, Danilewskiego w Rosji lub Dahna w Niemczech była właściwie opowiadaniem przebiegu faktów historycznych, ilustrowanem literacką fabułą, mającą drugorzędne znaczenie. Wszystkie te rodzaje mają tyle wspólnego z nowocześnie pojmowanym historyzmem, co „Złoty osioł" Apulejusza ze współczesną powieścią psychologiczną.

Dopiero ekspresjonizm, wprowadzając moment odpowiedzialności jednostki za zbiorowe procesy, oddziałał na twórców powieści historycznych. Wychodząc z założenia, że tajemnica takiego a nie innego charakteru dziejowych wypadków leży w psychice wielkich jednostek — zaczęto rekonstruować ich portrety duchowe. Ludwig, Zweig, Jellusich — to typowe przykłady takiego właśnie ustosunkowania się do przeszłości.

Teza, że dzieje kształtują nie zbiorowości, lecz wybitne jednostki, a w związku z tem dokumentarny rewizjonizm w stosunku do poszczególnych indywiduów i ich wpływ na procesy zbiorowe — to główne cechy tego rodzaju, który rzadko jest tylko biografją, często czemś więcej, aniżeli powieścią biograficzną.

Czy jednak w tym właśnie rodzaju twórczości historycznej tkwił moment rzeczowej kontroli stosunku współczesności do przeszłości? Niewątpliwie tak, jeżeli chodzi o kwestję demaskowania i rewizji legendy indywidualnej, mitologizującej, tej, która zacierała obraz rzeczywisty jednostki na rzecz całkowitego, w sensie dziejowym, zniesławienia. Moment rehabilitacyjny odegrał również znaczną rolę (np. w powieści Erenburga o Babeufie). Ale teza, wedle której wszystkie fakty dziejowe stają się funkcją przypadku — funkcją indywidualnej struktury psychicznej protagonistów historji — przesuwała tylko ciężar gatunkowy powieści z intrygi sytuacyjnej na indywidualny proces psychiczny, zamiast wyjaśniania procesów historycznych i wyrażania ich w formie artystycznej. Właściwy materjał historycznego procesu — zbiorowisko — stawało się tłem lub narzędziem dla jednostki. Należy zaznaczyć, że wskutek zbytniego oddalenia czasowego lub braku dokumentów, ta jednostka, poza historycznem imieniem lub przybliżonemi granicami lat, w których działała, była całkowicie dziełem autora. Stąd też proces dziejowy, kształtowany przez tę jednostkę, był właściwie — w myśl założeń psychologicznych twórcy — jego własną koncepcją.

Znamiennym wyłomem stała się powieść Tołstoja „Wojna i pokój", w której historyczny bohater był funkcją masy i został przeciwstawiony genjalnej indywidualności Napoleona. Ale w okresie, w którym się utwór ukazał, mimo entuzjazmu czytelników (— w kołach literackich przyjęto go nieprzychylnie —), nie znalazł się nikt, ktoby podjął myśl wyrażoną przez Tołstoja.

Historja w powieści historycznej tego typu, który omówiliśmy poprzednio, ograniczała się do roli fabuły, dowolnie kształtowanej przez autora. Przypomina mi się powieść Erskine'a „Życie prywatne pięknej Heleny". Utwór nosi cechy współczesnej powieści psychologicznej. Ani słowem nie wspomniał autor o epoce. Poza greckiemi imionami mitologicznemi utwór ten nie ma zupełnie niczego z epoki, w której rozgrywa się akcja. Czem się więc różni od takiej „powieści historycznej", w której autor oprócz mniej lub więcej dobranych szczegółów (Grecy np. jeżdżą konno „bez niczego", Rzymianie natomiast za czasów cesarstwa już w spodniach) wprowadza fikcyjną fabułę historyczną? Mnogością ilustracyj słownikowych i rzeczowych (giezło, ciżma, sandał, podwika, kilkanaście „ichmość panów" i. t. d.)lub wzmiankami o tem, „że właśnie w tym czasie odbył się sobór nikejski" — trudno zastąpić to, o co właściwie powinno chodzić pisarzowi historycznemu: zagadnienie dziejowe zrobić centralnem zagadnieniem utworu.

Mówi się o popycie — wzmożonym ostatnio — na powieść historyczną. Istotnie. W czem jednak ma on swoje źródło? Zdaje się, że przedewszystkiem w głodzie autentyzmu. W czasie wojny światowej gruntownie i bezpowrotnie runęła legenda jednostkowego heroizmu. Ci, którzy opowiadali o wojnie bezpośrednio po niej — Remarque, Renn, Dos Passos i inni — opowiadali o człowieku — symbolu gatunku, zgubionym w masie tworzącej historję, w sprzecznościach i chaotycznym wirze krwawych nonsensów. W związku z tem wyłoniła się konieczność poznania, jak *naprawdę* wyglądała genealogja tego zbiorowego szaleństwa. Chodziło więc o wyrobienie dziejowego stosunku do przeszłości po przekreśleniu iluzji, głoszącej, że przeszłość ta była tworem poszczególnych genjalnych jednostek.

A tymczasem właśnie współczesna powieść historyczna, zwłaszcza polska (poza kilkoma wyjątkami), jest przykładem bezdziejowości, tej samej, którą zwalczał Brzozowski, tej, która znów powraca do kultu i mitologizacji genjuszów.

Dzieje — to funkcja zbiorowości. Stąd też i powieść historyczna w pojęciu dzisiejszem to przedewszystkiem powieść o zbiorowości, jej autentycznych i prawdziwych przemianach i przeżyciach, nie wynikających z pięknoduchowstwa autora, którego razi np. fakt, że armja broniąca Monguncji w 1793 nosiła śmierdzącą bieliznę i wolnościowe ideały w zdjętych z niemieckich trupów tornistrach.

Jak autor widzi i jak kształtuje psychologję i strój fikcyjnych postaci, wmontowanych w tło historyczne, jest (jeżeli historja stanowi dla niego tylko tło) z punktu widzenia dziejowego rzeczą całkowicie obojętną. Historyczna powieść, która przesunęła tło na bliższy plan, już się tworzy. Kruczkowski, Aragon, Feuchtwanger (zwłaszcza ten ostatni w powieściach „Erfolg" i „Oppenheim"), A. Tołstoj, nawet w dużym stopniu Szołochow — to bardzo poważne pozycje w tej dziedzinie.

Ci, dla których historyzm to romantyczna historyczność z jej czasową i obyczajowo-zewnętrzną egzotyką, wyzyskują dobrą konjunkturę na autentyzm, dając tylko jego tanią namiastkę. Tanią, bo powróciwszy do historycznego prymitywu Dumasa czy Walter Scotta, ułatwiają sobie kompozycyjną i fabularną stronę powieści, doczepiając odpowiednio stylizowane elementy „dziejowe": zamiast auta — karoca, zamiast kombinacji — giezło, zamiast kilometra — staja, wreszcie w miejsce prezydentów i dyktatorów — cesarze, króle, kardynały i giermki.

---

jak chętnie byłbym się dał pouczyć i przekonać, ale niestety, nie dano mi sposobności do tego. Skonfiskowano i dość.

Nie, „Sygnały" nie krępują mnie jako swego współpracownika w niczem i przyznam się uczciwie, że nawet nie pomyślałem nigdy o takiej czy innej marce tego sympatycznego dla mnie miesięcznika. Interesowały mnie jego dobre artykuły, jego ładne wiersze, cieszył staranny dobór materjału. Owszem, spotykam się w tem piśmie z głosami, malującemi różne postacie niedoli człowieka współczesnego, ale aby odczuwać głęboko nieszczęście naszego pokolenia bezrobotnych np., na to nie trzeba koniecznie być marxistą, wystarczy być człowiekiem współczującym wszelkiej niedoli. O tych miłych mi ludziach z „Sygnałów", z którymi miałem szczęście i przyjemność zetknąć się bliżej, wiem, że gdyby gdzieś uciskano katolików, czy też konfiskowano ich rzeczy, a byłoby w ich mocy zapobiec temu, to uczyniliby to bez wahania. To jest nastawienie nie marxistowskie specjalnie, ale proste, ludzkie, wypływające z elementarnej potrzeby ludzkiej, aby każdy człowiek czuł się dobrze na tym świecie, aby nie było nieszczęśliwych, upośledzanych, krzywdzonych.

Jakże chętnie notowałem w swoim czasie każdy przejaw pięknej pracy księdza Blizińskiego w Liskowie, jakże żałowałem i żałuję, że takich księży jak on nie mamy przynajmniej kilkudziesięciu! Ta praktyka życiowa, która dała nam wzorową polską wieś, pogodnych i szczęśliwych jej mieszkańców to sprawa, która mówi sama za siebie. Natomiast teoretyczna strona wszelkiej doktryny, ignorowana przez swoich wyznawców, a często nawet pomiatana przez praktykę przeczącą zasadom głoszonym, to rzecz znajdująca się daleko poza naszą świadomością. Jakoś od tego nic nie oczekujemy, uważamy to za platoniczne, formalne, chłodne, od czego nie zapalają się ani serca ani umysły. Gdyby się teoretyzm encyklik zbiegł z potężną praktyką życiową katolików, gdybyśmy ujrzeli realizację wolności duszy ludzkiej, poszanowanie tej wolności także u — nie przeciwników — lecz ludzi inaczej myślących i czujących, jakże miło byłoby nam stwierdzić to i stwierdzać stale nietylko w „Sygnałach", ale wszędzie i zawsze. *Verba volant, exempla trahunt.* I — powiedzmy jeszcze — jakże słodka jest przemoc pięknego, szlachetnego przykładu, jak mocno zobowiązuje przeciwnik, który świecąc przykładem, przestaje być przeciwnikiem!

Paweł Hulka-Laskowski

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

ODWAŻNI

Komu śpiewaniem stroić turkot wozów do dalekich [wypraw?
Samotni woźnice znają gorzkie pieśni.
Tam, skąd na sny drewnianą skrzynię wykraść,
nie dojdą cienie muzycznych skrzydeł.
Na strudzonych dni przerywany wydech
nałoży noc kłębek nieprzytomnych mięśni.

Nam sypać z rąk giętkie wióry świtów.
Pod wiatr szarfą ust osłaniać drżących myśli ogień.

Oni dali za siebie w złotej walucie wykup.
Od blasku miedzianych monet
dni pieśnią nie zapłoną
tym, którym sen stał się wiecznym nałogiem.

WŁADYSŁAW JAWORSKI

MINIONE

Z ulic wiodących w miasto albo w obłoki,
z mostów, pod któremi kolor wspomnień zagraża
o zmierzchach, patrzyliśmy w spokój nieba wysoki,
nim ogień komety nie przewiał nas po twarzach.

Godziny burzą okute, cierpkie podmuchy
owej nocy, kiedy wynieśli moje ciało
w zszarpanych wieńcach i dymu obelisk kruchy
wzniósł się do gwiazd... To wszystko jeszcze się nie [stało.

Gałęzie wiatrem pchnięte i rozwiązane cienie
nad zgaszonemi siedzibami. Poznaję mękę,
gdy bóstwo dawne schodzi w miłości więzienie
i chłodny kwiat, dar ostatni, wtyka mi w rękę.

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA-SOBOLEWSKA

Z POEMATU „LONT"

Jaki dziki wiał dziś u nas wiatr!
Skąd on przyszedł,
poco przygnał —
któż to wie?
Między domy,
między mury
z wizgiem wpadł,
Marszałkowską się przeczołgał
(bruk tarł brzuch)
a przed Saskim
z wyciem,
z plaskiem
padł na grzbiet.
Uch, konisko takie ciężkie a wesołe!
Och, ptaszysko miękkopióre, śmigłe, pstre!
Tupał, tańczył, kitą machał, cochał czoło,
oblizywał
mocno mlaszcząc
czuby drzew.
Niebo zmiesił,
domy zdeptał,
plac —
jak dywan
rozłopotał,
rozpowinął
w dal perspektyw,
czarodziejski, samojezdny, bystry dywan —
płynie na nim
w gwizdzie,
w wyciu,
miasto nędzy,
miasto fabryk,
bezrobocia,
w dal perspektyw,
lśniących wystaw,
i przemocy,
i ucisku,
i pieniędzy.
Dokąd płynie? Dokąd leci?
Nie odgadniesz...
Czy w śmierć głuchą?
W dyktatury noc bezdenną?
Na zagładę?
Czy ku szczęściu wyśnionemu,
w żar poranku
czerwonego
rwie promienność?

Z RZEŹBY POLSKIEJ

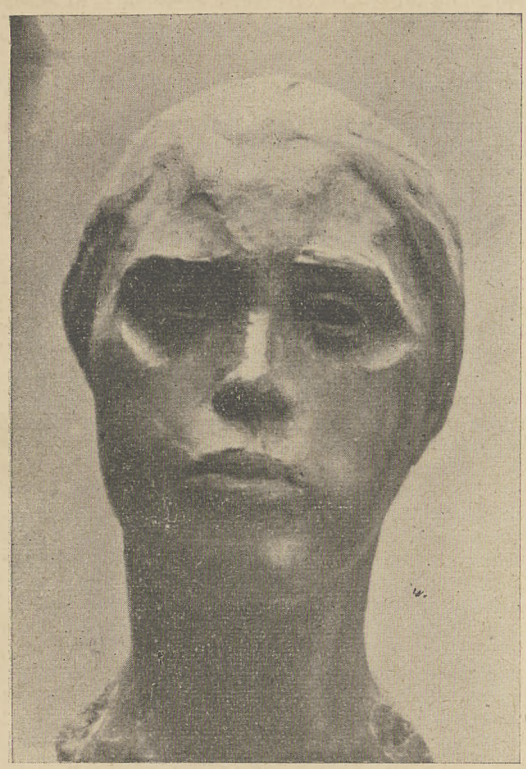

STANISŁAW MAJCHRZAK
Głowa (gips)

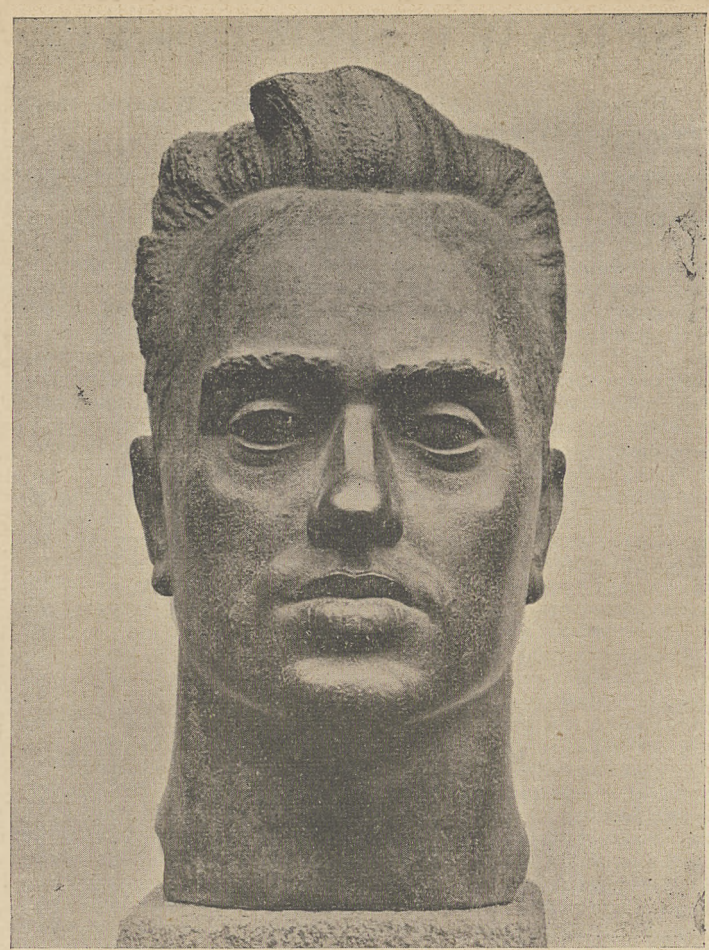

ALFONS KARNY
Autoportret (brąz)

XAWERY DUNIKOWSKI
Głowa Szyszko-Bohusza (gips)

HENRYK WICIŃSKI
Głowa (gips kolorowany)

AUGUST ZAMOYSKI *Posąg (granit)*

PRZYPOMNIENIA

PRZESTROGI DLA POLSKI

Prawa Narodów są te same, co Prawa Człowieka. Ten praw związek tak jest nierozwiązany, że jeżeli z tych gatunków którykolwiek zgwałconym zostanie, muszą koniecznie wszystkie inne gwałt uczuć. Więc do całości wszystkich narodów należy, aby w żadnym kraju Prawa (natury) Człowieka naruszone nie były. Jeżeli bowiem naturalne Prawa Człowieka są Prawami Narodów, kto gwałci Prawa Człowieka, ten gwałci Prawa Narodów.

Koniecznie z naruszeniem w którymkolwiek kraju Praw Człowieka musi odmieniać się tegoż kraju z innemi narody stosunek. Jeżeli w jakich krajach na miejscu Praw Człowieka wzniesie się gwałt, już związek tych krajów z innemi krajami przestaje się zasadzać na Prawach Narodów, ale tylko gruntuje się na prawach przemocy. Jeżeli w niektórych krajach gwałt narusza obywatelską wolność i własność końcem większego swojego wzrostu, muszą koniecznie wszystkie narody inne naruszyć obywateli wolność i własność, końcem powiększenia swojego temuż gwałtowi odporu.

Powtarzam: do spokojności i do bezpieczeństwa wszystkich narodów należy, aby w żadnym kraju Prawa Człowieka gwałcone nie były. Również do spokojności i do bezpieczeństwa wszystkich narodów należy, aby jeżeli już w innych krajach Prawa Człowieka są zniszczone, też narody stosowały się nieodwłocznie do zewnętrznych praw panującego gwałtu.

* * *

Gwałt zaczął wydzierać ludziom prawa. Oszczerstwo, przez niego zakupione, udawanym głosem z Nieba ludzi od bronienia się wstrzymywało. Zwyczaj dokonał reszty. Zatłumił w człowieku czucie. Tak bezecne łakomstwo i duma na miejscu człowieczeństwa postawiły kilka osób.

Nigdzie w Europie niema ludzi — wszędzie niewolnicy. Nigdzie niema Narodu — tylko narodów panowie. Wszędzie zniszczone Prawa Człowieka — więc zniszczone Prawa Narodów.

W krajach Europy narody do układu swojej szczęśliwości nie wchodzą. Owszem, nawet im prośby zanosić nie jest wolno. Tylko kilka familij wszystkich ludzi wolność rozwalnia albo uszczupla, wszystkich ludzi majątek taksuje i dochody wybiera, jak im się podoba. Niema więc między narodami wolności, ani własności. Miejsce Praw Narodów zastąpił despotyzm z prawem gwałtu.

Tak jest. W Europie niema Praw Narodów. Są tylko związki despotów. ...Szczęście dla narodów, że ich panowie zgodzić się nie mogą, a tymczasem z łakomstwem i z ich dumą podatki rosną, lud coraz więcej cisną. Potrzeba go oświecić, a nieznośny ciężar zerwie cierpliwość.

* * *

Gdy powagę i jestestwo narodów przywłaszczyło sobie kilka familij, rzeczypospolite poszły w pogardę, kraje despotyczne w poważanie. Napaść rzeczpospolitą, wyniszczyć ogniem i mieczem naród bez udzielnej familji, ludzi bez dziedzicznego pana podburzeniem fanatyzmu wyrżnąć, potem ich resztę rozszarpać i podzielić jest w oczach Europy tylko dowodem potęgi, mocy i jedna gwałcicielowi szacunek i chwałę. Ale najmniejsze uchybienie grzeczności despocie, — owszem — wyprzedzenie krokiem jego posła jest przestępstwem prawa narodów .

...Dzisiaj z przyczyny pokłócenia się domów samodzierżczych wygubienie miljona ludzi jest tylko momentalnym smutkiem przy czytaniu gazet. Ale naruszenie w podobnych przypadkach choć jednej osoby z udzielnych familij jest barbarzyństwem w całej Europie.

* * *

Wszystko między teraźniejszemi domy robi się przez gwałt. Tylko o to starają się, aby była formalność. Rozbiorą cudzy kraj. Ale nie mogą się uspokoić, dopokąd swojego gwałtu nie pokryją sprawiedliwości formalnością.

...Jak niema w żadnym kraju między ludem a panującym zaufania, tylko sama bojaźń — tak niema i między krajami żadnego zaufania, tylko taż bojaźń. Niechęci, zawziętości panujących domów są teraz jedyną niechęcią i zawziętością narodów.

Traktaty są niestałe, bo nigdy nie mają w zamiarze sprawiedliwości, tylko zysk: gdzie tego więcej, tam większa przyjaźń; bez sprawiedliwości tylko z tym przyjaźń zyskowna, kto jest mocny...

* * *

Żywiołem despotyzmu są panowie, szlachta i duchowni. On, kiedy panów, szlachtę i duchowieństwo niszczy, siebie samego niszczy...

Despotyzm jest to stek wszystkich przywilejów, które duchowieństwo i szlachta dzierżyli. W towarzystwach (społeczeństwach) panowie z tych przywilejów największe pożytki mają. Stąd pochodzi, że pan i despota tak sobie zbliska wbrew stoją...

Stanisław Staszic

PROUST PO POLSKU

Marcel Proust: W cieniu zakwitających dziewcząt. Przekład T. Boya-Żeleńskiego. Tow. Wyd. „Rój", Warszawa, 1937.

Drugi etap w „poszukiwaniu straconego czasu" zajmują dwa naczelne dla autora zagadnienia tego okresu: zenit fascynującego wpływu, który nań wywierał dom Swanna i wielkie lato w Balbec. Dziecięca miłość do Gilberty wchodzi wówczas w okres niepokoju, rozczepiona między te połowy umysłu chłopca, z których jedna każe mu się zachwycać klasyczną „Fedrą", druga łudzi zabawą „w klasy" z ukochaną dziewczynką na Polach Elizejskich. Proust w dalszym ciągu nie jest w porządku z datami; a może to wyjątkowość temperatury psychicznej neurasteńika, niedogrzanej, jeśli idzie o męskie upodobania w tym wieku, przegrzanej zato w kulturze umysłowej i narcystycznem zapatrzeniu we własne melancholijne odbicie. Pewne zdarzenia mogą łudzić aktywnością i powodzeniem, ale nawet wówczas, kiedy w momentach zwycięskich swego uczucia dzięki uporowi zdołał się zbliżyć do rodzinnej atmosfery Gilberty, kiedy jest tam przyjmowany w charakterze przyjaciela domu, dla bystrego obserwatora zgóry przegrywa swoją walkę o miłość. Symptomy te są znamienne w badaniu psychoanalitycznem. On boi się fizycznego blasku Gilberty, zaczyna o niej nie mówić, zwraca się we wspomnieniach z całem zainteresowaniem i maestrją słowa ku Odecie. Ta kryptonimowość uczucia, mamiąca wchodzeniem w czyją inną aurę, sygnalizuje wielkie, wzruszające tchórzostwo. Odeta jest wulkanem wygasłym, w każdym razie, jeśli idzie o urok wywierany na tak młodego chłopca, można ją podziwiać na zimno. Z drugiej strony młody jej przyjaciel wie, jaki demoniczny wpływ wywarła w swoim czasie na Swanna, a jest to przecież ta sama materja ,z której uformowana jest Gilberta. Bada ją, wypija jej zimne, niegroźne czary. Bojąc się podnieść oczy na swoją płaską, trywjalną i niebezpieczną dziewczynę, komplementuje w myśli jej psychicznego satelitę; sama gwiazda jest w stanie płynnym i gazowym, oślepia. Owa rozgrywka psychiczna nie jest jednowymiarowa. Odeta, stępiwszy ostrza swej chimeryczności na Swannie, odczuwa niesmak, chciałaby zwrócić komuś bez wynagrodzenia tę dozę kobiecej dobroci, której poskąpiła swemu mężowi, dopomaga chłopcu do władania tym żywiołem, który jest przecież jej drugiem wcieleniem, poskramia siebie samą w córce. Ale młody Proust jest bardzo słabym pływakiem, tonie, chociaż podtrzymują go za jedno ramię. Rzec można, że zrezygnował zgóry, wycofując się na mniej bolesne pozycje. Dlatego gdy ostatecznie Gilberta podsumowuje rachunek milczeniem ,które ją nic nie kosztuje, czytelnik oddycha z ulgą, dłuższe patrzenie na tę nierówną walkę byłoby już tylko przygnębiające.

Po dwu latach przeżywa Proust narodziny nowego uczucia w czasie pobytu na letnisku w nadmorskiej miejscowości Balbec. Dochodzi się do tej miłości znowu w sposób kunsztowny, drogą wymoszczoną kilku warstwami wrażeń, zanim na ostatniem piętrze autor znajdzie się w opiumowej chmurze, w cieniu zakwitających dziewcząt, zwłaszcza jednej z nich, Albertyny Simonet.

Omawiając pierwszą część cyklu, wyraziłem taki pogląd. iż Proust zdemaskował się już dawno jako pisarz nie-psychologiczny, tylko jako publicysta psychologiczny, glossujący pewne fenomeny w tej dziedzinie. Podtrzymuję ten sąd, który wywołał być może pewne nieporozumienia, podejmując się zarazem wyjaśnić, dlaczego tak jest i dlaczego tej opinji w żadnym razie nie uważam za sąd ujemny o autorze. Pozostaje to zresztą w związku z omawianiem lata w Balbec.

Proust nie jest pisarzem dramatyzującym rzeczywistość, reakcje jego postaci mają charakter przydłużony w ciągłości (łacińskie „iterativum"), one same mieszają następniki i poprzedniki swoich reakcyj psychicznych; w momencie, kiedy się o nich mówi, nie są już konkretnemi postaciami z twardego, jednostkowego zdarzenia, ale wyklarowanym płynem doznań autora w określonym okresie życia. Proust ze swej dowolnej i retrospektywnej postawy nie **przedstawia** ludzi, ale ich **zna**, przysuwając blisko do oczu swoich i czytelnika te wyklarowane płyny, ułożone na sobie warstwami gęstości. Dlatego, choćby chybiając w psychologji momentu, z doskonałą subtelnością potrafi glossować każdą wyosobnioną warstwę swoich przeżyć i dlatego też nie jest pisarzem psychologicznym w tem przedmiotowem znaczeniu, tylko komentatorem przemienionych w sobie zdarzeń. Tak właśnie dzieje się w Balbec. Kładą się na sobie kolejno warstwy znajomości z panią de Villeparisis, z jej siostrzeńcem, wreszcie z samemi „dziewczętami", których nieodparty urok nadaje ton całej książce. W trzeciej warstwie niema nic z pierwszej ani drugiej, obecności pani de Villeparisis albo babki, z którą mieszka, nie odczuwa się zupełnie w atmosferze przestawania autora z jego nowemi przyjaciółkami, co nie jest prawdziwe w tych kategorjach myślenia, którym nieobce jest pojęcie daty, jednoczesności zdarzeń, słowem — kontrapunkt psychologiczny. Mimo tych skrzywień w obserwacji jest pisarzem „wystarczająco" genjalnym.

Przypomnę jeszcze główne momenty z tej drugiej części opowiadania, w której równocześnie zbliżamy się do arystokratycznego kręgu Guermantes (pani Villeparisis i jej siostrzeniec, błyśnięcie pana de Charlus), oraz do środowiska burżuazji, z Albertyną, ubogą krewną jednej z takich rodzin naczele. Albertyna jest dziwnie podobna do Gilberty, samego pisarza to zastanawia, biedak, nie pozbył się jeszcze wtedy trucizny po obecności Gilberty. Odpowiada na to — chyba umiłowaniem pewnego typu. My możemy powiedzieć, że panna Simonet jest do tamtej zupełnie niepodobna, to tylko chęć rewanżu na nieobecnej i zarazem idea utrzymania ciągłości w tej nieustannej potrzebie kochania. W ten sposób ujemny rachunek się maże, należy zacząć od początku z duszą nienaruszona w swojej świeżości. Albertyna jest dla odmiany „dobra", jak tamta była „zła", ale demonizm tej dobroci i cnotliwości jest równie niebezpieczny, i w tem wszystkiem uczucia jego będą podobne, stale pozostające w defensywie, w zanadto ufnem, bez zastrzeżeń, zachwyceniu.

Mój sąd o przekładzie T. Boya-Żeleńskiego, który na tem miejscu wyraziłem przy sposobności omawiania pierwszych tomów i który naogół wypadł ujemnie, muszę poddać znacznemu zmodyfikowaniu .Nie chcę się wykręcać takiemi powiedzeniami, jak to naprzykład, że... tłumacz dał się wciągnąć żywiołowi autora lub innem w tym rodzaju. Druga część mi się podobała, do pierwszej nie zaglądam teraz, może jest tak samo napisana, ale wydała mi się gorsza z czysto emocjonalnych przyczyn, subjektywnych, takich jak przyjemność z wąchania pewnego kwiatu. Nie powiem, że do napisania recenzji na kilkadziesiąt wierszy uruchomiłem cały aparat objektywnych władz poznawczych. I tym razem tak nie jest. Przekładca poza nielicznemi potknięciami, jak „zanurzaniem się w szczeble karjery" na którejś tam stronie, lub rażącem mnie trochę wyrażeniem „możebne" zamiast „możliwe", wykazał wiele szlachetnej giętkości w oddaniu myśli Prousta, w stylu, pełnym miękkich muzycznych gradacyj w wymienianiu słów na słowa, w przemyślanych okresach, których krągłość trzeba oceniać zwłaszcza z tego punktu widzenia, że nie chodzi tu o wypieszczenie jednej strony, ale tysięcy stron. Moja pierwsza ocena była poprostu niesprawiedliwa.

Marjan Promiński

Czytajcie „Szpilki"

SPRAWY SPOŁECZNE

Ksawery Pruszyński: Podróż po Polsce. Waszawa 1937. Towarzystwo Wydawnicze „Rój".

Szuka się w tych dwunastu podsłuchach i podpatrzeniach istotnego obrazu Polski roku 1936, nawet syntezy dnia dzisiejszego: co wywołało spod bruku legjon proletarjacki na ulice Lwowa, co sprawia, że przeciwstawił mu się tylko policjant i białe, anemiczne rezolucje o żydokomunie i agenturach obcych. Co czyni Częstochowę ośrodkiem dewocjonalno-politycznych pielgrzymek, manifestacyjnych prób sił, chcących poddać Polskę „synowskiej uległości dla Stolicy Apostolskiej" i Stronnictwa Narodowego. Co wreszcie doprowadziło do zwycięstwa i klęski tego samego stronnictwa w Łodzi, jakie moce dały materjał dla wstrząsającego filmu przytyckiego, jakie jest oblicze budzącej się Polski chłopskiej, maszerującej piętnastoma tysiącami hardych czwórek w Rzeszowie; czy betonowe tamy Porąbki i Rożnowa wstrzymają napór bezrolnej wsi, głód pracy miljonów bezrobotnych chłopów, tysięcy robotników, czy narastającym rocznikom młodzieży da nowa Polska zamiast petardy demolującej sklepy żydowskie zatrudnienie i wielką ideę, motor życia społecznego. W rocznej perspektywie można już dać odpowiedź na wiele pytań reportera, miejsca, w których sejsmograf kłopotał się w pytiańskich alternatywach. Bo katolicyzm nie poszedł z Częstochowy do Faulhabera, wybrał czasy saskie, krew, walkę na pięści aranżerów politycznych tegorocznych ślubowań. „Żółci ludzie" z Łodzi, których bliższymi czynił temu miastu niż starych bojowców P. P. S.-u, ponieśli klęskę, ale zwycięzców zwyciężyła Polska „oficjalna". Przytyk stał się wzorem, choć wysublimowanym, subtelnie odbarwionym z walki o stragan; został tylko ekstrakt nienawiści, syconej coraz śmielej i szerzej, której nie przeciwstawia się nikt, jak za czasów podróży Pruszyńskiego. A gruby, masywny beton Rożnowa zatrzymuje ciągle tylko jedną tysięczną czy kilkakroć tysięczną rąk bez pracy, likwiduje tylko ułamek globalnego zagadnienia Polski współczesnej, wielkiego budownictwa, które zdolny jest stworzyć i przeprowadzić jedynie nowy ustrój.

Reportaż autora „Listów z Hiszpanji" ma kierunek dogłębny, zmierzający ku podziemnym prądom ideowym, nurtom żłobiącym stale, choć w urzędowych wymiarach niedostrzegalnie, nieustalonemi jeszcze łożyskami życie polskie. Pruszyński daleki jest od schematyzowania, prób ujmowania obserwacyj i wniosków pod kątem widzenia doktryny lub programu. Mówi wszystko, co widzi, co w chwili przesuwania dramatycznych filmów przed oczami ciśnie mu się na myśl. Stąd obfita refleksyjność przechodzi często w daleko idącą, niepozbawioną momentami rozmachu, chwilami zaś bezradności i niezdecydowania subjektywną interpretację zaobserwowanych faktów.

Niezmiernie sugestywna książka Pruszyńskiego nie jest soczewką, w której byłyby skupione wszystkie światła i cienie współczesnej rzeczywistości, mając charakter zbioru wycinków, zdekompletowanego konstrukcyjnie obrazu. Ułatwia jednak wniknięcie w tę rzeczywistość, przedewszystkiem dzięki autorowi, który unikając wszelkich postaw, zachował jedną: szlachetne, uczciwe i prawdziwie głębokie spojrzenie w „Polskę burzy i naporu".

Franciszek Gil

A. Oderfeldówna: Młodzież przedmieścia. Z badań ankietowych na Ochocie. Warszawa 1937. Instytut Spraw Społecznych.

Jako teren badań warunków życia młodzieży przedmieścia wybrano Ochotę — teren niejednolity, o ludności przechodzącej wszystkie gradacje społeczne od „lumpenproletarjatu" do drobnomieszczaństwa. Badani to: 1) grupa S. — wylosowani absolwenci szkół powszechnych; 2) grupa P. — pochodzący z rodzin, zarejestrowanych w Sekcji Pomocy Matce i Dziecku przy Obyw. Kom. Pomocy Bezrobotnym; 3) grupa O — z rodzin zarejestrowanych w Ośrodku Zdrowia na Ochocie. Grupa 1-a i 2-a, to górna i dolna granica warstw społecznych Ochoty. Wiek młodzieży badanej: 10—18 i 20 lat, liczba: 235 osób.

Odrazu nasuwa się pytanie, czy i o ile mogą badani reprezentować młodzież przedmiejską Polski. Tendencje autorki szły raczej w kierunku wydobycia charakterystycznych momentów z życia tej młodzieży i wysnucia wniosków wyłącznie natury lokalnej. Niemniej dzięki różnorodności materjału można je rozszerzyć na całą Polskę. W przedstawieniu warunków materjalnych oparła się autorka na statystyce ankietowej, w badaniach poglądów i idej tylko raz pokusiła się o zestawienie liczbowe (sprawa stosunku do nie-Polaków: 1/3 — antysemici, 1/3 — o poglądach demokratycznych, 1/3 — niezdecydowani). Pomysł szczęśliwy, bo przy małej ilości badanych statystyka mogła się okazać metodą niebezpieczną.

Badano: I. mieszkanie. ubranie, odżywienie, II. naukę, III. bezrobocie, praca, zawód, IV. rozrywki, sport, potrzeby kulturalne, V. życie rodzinne, VI. poglądy i dążenia. Czy badania przyniosły rewelacje? W pierwszych pięciu punktach — chyba nie! Czy jest nowiną, że w grupie P wypada 7 osób przeciętnie na jedną izbę, że panuje tam poprostu chronicznie głód, że pójście między ludzi uniemożliwia brak ubrania, że wyższa warstwa wiąże koniec z końcem tylko dzięki skandalicznie niskim wymaganiom. Ogromna ilość młodzieży opuszcza szkołę już w 10, 12-tym roku życia, nie kończąc więcej niż 2 lub 3 klasy — spowodu nędzy; reszta przeważnie nie otrzymuje fachowego wykształcenia, gdyż całą edukację przerywa bezrobocie ojca. Sport to piłka nożna i kąpiel w gliniankach, rozrywki kulturalne — kino i najdziwaczniej dobrana lektura, przeważnie kącik humorystyczny i kryminalne wiadomości z gazety, książki sensacyjne, między niemi „Trylogja". Poglądy na życie rodzinne streszczają się w zbanalizowanem, ale niemniej tragicznem powiedzeniu: „Małżeństwo to luksus".

W tych warunkach, gdy praca jest szczytem marzeń i utożsamia się z jedzeniem („Zadowolony jak furman, nieszczęśliwy gdy nienajedzony"), jak przedstawiają się poglądy społeczne i moralne młodzieży? Ograniczają się do powtarzania demagogicznych komunałów, często faszystowsko-nacjonalistycznych; pomaga temu osłabienie poczucia przynależności klasowej skutkiem długotrwałego bezrobocia. A poglądy z własnego życia: Największem złem jest brak pracy. Kto to powoduje? Maszyny i konkurencja... dobrzy ludzie pomogą: żydowska. Należy tedy zniszczyć maszyny i wypędzić Żydów. A jeśli i to będzie za mało? „Jedyne wyjście wojna, żeby wyrżnąć połowę ludności" — odpowiada jeden z pytanych.

Taka jest postawa moralna młodzieży przedmieścia.

Zdzisław Ogrodziński

NOWOŚCI POETYCKIE

Zbigniew Kasiński: Bez drogowskazu. Warszawa, 1936. Skład główny: Tow. Wydawnicze.

Autor kryjący się pod maską zamyślonego, „chłodnego" tj. refleksyjnego, a nadto dość flegmatycznego liryka, zdradza sporą młodocianość, jeśli się bliżej przypatrzeć jego poczynaniom poetyckim. Choć w wierszach tych przejawiają się tendencje do wypowiadania się w formach klasycznych, to jednak wychodzi na jaw ogromna narazie prymitywność i rażąca niezaradność w formułowaniu jakiejś subtelniejszej myśli.

Pozorna powaga, mająca w tych utworach miejsce, często zmienia się w prawienie banałów. Tomik ten to jedna z wielu zapowiedzi, świadczących o autorze ani źle, ani dobrze. Raczej powinno się uznać to za „bardzo młody", przedwczesny debjut. Poetę, gdy nawet wysublimuje i rozwinie owo coś, co mu „milczeć nie pozwala", czeka po znalezieniu drogowskazu jeszcze długa droga.

Mieczysław Braun: Sonety. Warszawa, 1937. F. Hoesick.

Jeszcze jedna próba klasycyzmu, którą powinno się przyjąć z uznaniem. Sonety, składające się na ostatni tom Brauna, posiadają mimo pewnych usterek niezaprzeczone piękno, które wystawia autorowi świadectwo zdobytego kunsztu wysokiej poezji. Oglądamy z natężoną uwagą w każdym z sonetów kolejno obrazy świata, które wcale nie uderzają żywemi kolorami, raczej sprawiają wrażenie odbarwionych, odartych z wszelkich atrybutów, zmysłowych jakości, rysując się sucha ostrością konturów, jaką spotykamy w grafice. Tak przedstawiona rzeczywistość ożywia się i potęguje z chwilą, gdy głębiej wnikamy w refleksyjny charakter wypowiedzi poety. Zawartość liryczna tych sonetów skłania nas do przekonania, że owa kontemplacyjność, która wszędzie w nich występuje, wyrasta z dna światopoglądowego autora, że jest czemś, co tkwi, jako bardzo istotne, w jego psychice. Co krok natrafiamy na rozważania nad marnością każdej, a więc i naszej epoki, nad koniecznością mijania. Odwieczne to sprawy, a wszystkie opowiedziane z prostotą, a zarazem powagą i patosem, ani trochę niesfałszowanym, zasugerowanym jedynie jako konsekwencja umiaru twórczego. Postawę duchową w tym stylu, nacechowaną w podobny sposób pesymizmem, gorvczą i smutkiem poznaliśmy już w „Srebrnej wadze" Piechala, z którym Braun zdradza znaczne pokrewieństwo poetyckie.

U poety zadziwia wzruszeniowość, której rozpiętość skali sięga od przejmujacych depresyj aż do pozornie spokojnych i obojętnych zamyśleń. Ból istnienia, porzucenie świata i oddalanie się w sferę metafizyki — to zrąb zasadniczy „Sonetów".

Wacław Iwaniuk: Pełnia czerwca. Chełm lubelski 1936.

Z tomiku tego widać, że wiersze wchodzące w jego skład przedstawiają jeden z wycinków czy faz ewolucji poetyckiej Iwaniuka. Na podstawie pewnej rozbieżności jakościowej możnaby sądzić, że twórczość autora daleka jest jeszcze od stabilizacji. Chociaż tu i ówdzie mają miejsce usterki, psujące znacznie całość wiersza, najczęściej przez zbytnią niejasność powiedzeń, co czyni wyobrażenia towarzyszące czytaniu mocno niedookreślonemi, to raczej młody poeta wołyński prezentuje się poprawnie. W „Pełni czerwca" znajdujemy próbę utworzenia jakiejś koncepcji mitologicznej, opartej na słowiańskich motywach. Utwory tego rodzaju zaludnione są szeregiem postaci kobiecych: panien wodnych, dziewcząt i t. p. Częściowej genezy tego faktu należałoby się doszukiwać w „Pannach leśnych" Rogowskiego, z któremi to wierszami pewne konteksty u Iwaniuka wykazują podobieństwo. Gdzieindziej spotyka się w „Pełni czerwca" tendencje rimbaudystyczne, polegające na staraniu się o „nowe dreszcze". Stąd wywodzi sie niezaprzeczona oryginalność w poezji Iwaniuka (np. „Kwadryga"), wymagająca jednak wiele pracy, zanim poeta osiagnie ją w pełni. Narazie są to tylko dobrze wróżące przebłyski.

Władysław Jaworski

PRZEGLĄD PRASY

Nowa Kwadryga (nr. 4—5) przynosi M. Gladszterna „Cel Conradowskiej sztuki", H. Dembińskiego „O stylu rewolucyjnych mieszczan i współczesnych pseudoklasycyzmach", H. Gotliba „Plastyka bez historji". ...„Niszczenie, przeinaczanie i dowolne wartościowanie dzieł sztuki — twierdzi Gotlib — dokonywało się społecznie z punktu widzenia klasowych lub kastowych interesów i proces ten można analizować i tłumaczyć, stosując z powodzeniem metodę materjalizmu dziejowego. Naodwrót wygląd, wartość, charakter i doniosłość poszczególnych dzieł sztuki lub całokształtu twórczości danego artysty są niewytłumaczalne historycznie i klasowo. Wiszą ponad wypadkami dziejowemi, ponad wojnami królów i rewolucjami ludów — ponad ustrojami państw i kościołów — jak ptaki w powietrzu.

Bo czy sądzicie, że można i wolno mówić o Giotto'cie Rembrandt'cie, o Cézanne'ie i Picasso'ie jako artystach „reprezentujących" epoki społecznego zacofania i przeciwstawiać ich artystom społeczeństwa bezklasowego?

Spójrzcie w oczy staremu Tycjanowi lub Rembrandtowi na ich własnych portretach, przypatrzcie się obrazom i życiu El Greca i Goyi, posłuchajcie buntowniczych słów Van Gogha lub Gauguina — a zrozumiecie, dlaczego artyści zawsze i wszędzie byli duchem bliżsi włóczęgom i cyganom, niż królom, kardynałom i bogaczom.

Może pod gronostajowym płaszczem Rafaela i purpurą Tycjana, pod robotniczą bluzą Courbeta i mieszczańskim tużurkiem Daumiera, biło to samo serce, zawsze nam jednakowo bliskie i braterskie".

W opinji katolickiej głośna epopea Szczuckiej „Krzyżowcy" spotyka się z coraz większym krytycyzmem. W czerwcowym numerze jezuickiego **Przeglądu Powszechnego** J. M. Święcicki stawia autorce wiele zarzutów zasadniczych z punktu widzenia katolickiego. Najważniejszy jest ten, że Szczucka w ocenie wypraw krzyżowych uległa ideologji pacyfistycznej, że odczuła „grozę i upodlenie krucjat". Szczucka zdaje się stać na stanowisku, że każda wojna jest niewątpliwem złem. Święcicki uważa taką postawę za mocno już dziś „zdyskredytowana". Zdaniem jego „wojna, o ile jest sprawiedliwa (— któż to ma rozstrzygać?)... stwarza taką sytuację, w której ludzie muszą rozwinąć pełnię swoich sił, ale mogą pokazać zarówno swoją spotęgowaną zwierzęcość, jak i heroiczne wyniesienie się ponad cierpienie i śmierć". Katolicyzm zatem pochwala zasadniczo wojne, nie potępia jej, nie walczy z ideologją militarystyczną. Jakżeż z tem pogodzić naukę Chrystusa? Ale też — Święcicki w swej rozprawie ani razu na nią się nie powoływał.

We Francji duże poruszenie wywołała kwestja współpracy katolików z rządem Frontu Ludowego. Referuje ją w „Przegladzie Powszechnym" ks. E. Kosibowicz. Katolicki tygodnik „Sept" zapytał Bluma, co sądzi on o społecznej nauce Kościoła i jakiej spodziewa się współpracy od katolików „w budowie nowego porządku. nad którym pracuje Francja?". Blum odpowiedział, że współpraca ta wydaje się mu możliwa, a katolicy powinni uważać ją za pożadana. „Dlaczego wiara w wolność demokratyczna i sprawiedliwość społeczną nie mogłaby współistnieć z katolicka wiara w sumieniu tego samego człowieka?". Odpowiedź ta wywołała obszerną polemikę w francuskim obozie katolickim. Organ jezuicki „Etudes" zajął stanowisko krytyczne, w obronie tygodnika „Sept" wystąpił organ Dominikanów „La vie intellectuelle".

„Natchnieniem dla redakcji tygodnika „Sept" stały się bezwątpienia znane słowa kardynała Verdier, iż „obowiązkiem wszystkich pracodawców i robotników, mieszczan i wiejskiego ludu, moralistów, duszpasterzy i wiernych — jest pomagać zdecydowanie do rozwiazania ekonomicznego problemu, który nas przejmuje trwogą". Hasło to jest jasne, więc —

zdaniem redaktora „Sept“ — katolicy powinni wziąć na siebie część odpowiedzialności i w pełni odegrać swą rolę. Muszą się stać obrońcami „prawdziwej wolności“ i podtrzymać mocno żądania „prawdziwej sprawiedliwości“. By jednak ten cel osiągnąć, nie mogą być ciągle emigrantami w swej ojczyznie, nie mogą trwać w marazmie i odosobnieniu, ale powinni współpracowac w dziele społecznej reformy przynajmniej w punktach określonych i sprecyzowanych, które dadzą się w pełni uzgodnić z postulatami katolickiej wiary. Nie wolno zatem katolikom potępiać pewnych reform, których przecież są w głębi duszy gorącymi zwolennikami, a których potępienie możnaby motywować jedynie faktem, iż zrealizować je pragnie rząd, inspirowany przez socjalistów!“.

Dominikanie poparli tę inicjatywę, cytując w jej obronie encykliki papieskie i zasady teologji chrześcijańskiej. Jezuici jednak — wraz z nimi „Przegląd Powszechny“ — stoją na stanowisku, że pomiędzy katolicyzmem i socjalizmem są tak głębokie ideologiczne i światopoglądowe różnice, iż współpraca pomiędzy niemi jest zasadniczo niemożliwa.

W czerwcowej **Okolicy Poetów** St. Czernik w „Liście do młodego poety“ tak pisze: „...Czy nie uważasz za możliwe, że może powstać kult sztuki, powszechny, jak dziś kult złota i siły? Że doskonała strofa może budzić równy entuzjazm jak doskonały okręt lub autostrada, i że jeden entuzjazm może nie wykluczać drugiego. Człowiek entuzjazmujący się sztuką — to zjawisko naturalne. Przestałbym wierzyć w ludzkość, gdyby odebrano mi tę wiarę. Jeżeli wyobrażam sobie ludzkość przyszłości, to przedewszystkiem widzę człowieka - artystę w życiu codziennem. Wiem, możesz wysunąć tysiąc lśniących argumentów, wziętych ze starego lamusa feudalizmu, zapożyczonych od Rzymian, którzy drążyli nim swą wielkość: konieczność kwiatów, rosnących na gnoju, a więc konieczność gnoju, nędzy, prostactwa, niechlujstwa; rzekome prawo kultury o dziesięciu tysiącach „subtelnych“ dusz; zasadę, że „cieplarnia“ sztuki musi mieć jako podbudowę — stajnię pełną bydła. Pozwól, że te argumenty umiejscowię tam, gdzie im się należy: w muzeum barbarzyństwa“... — J. Mondschein przypomina poetę, satyryka i prozaika Ludwika Stanisława Licińskiego, zmarłego przed dwudziestu kilku laty.

W **Drodze** (nr. 4) J. Płokarz informuje o „Polskich szermierzach pokoju w XVI-ym wieku“. Należeli do nich przedewszystkiem arjanie, jedna z najciekawszych grup religijno-społecznych w przeszłości. Jedni z arjan, radykalni, bezwzględnie potępiali wojny i wykluczali je z życia ludzkiego, drudzy zaś, pacyfiści umiarkowani, przyjmowali jako zło konieczne wojnę słuszną, w własnej obronie. Godne uwagi jest to, że arjanie radykalni zakładali chrześcijańskie gminy komunistyczne i wprowadzali w nich w życie nauki Chrystusa. Uznawali demokratyzm, bratali się z mieszczaństwem i chłopstwem, uprawiali nauki, uznając zasadę wolności badania, potępiali przelew krwi ludzkiej (a nawet zwierzęcej), wyrzekali się bogactw i żyli w ubóstwie, poświęcając wszystko dla dobra innych — to bardzo bolało reakcję katolicką. Arjanie zostali z Polski wypędzeni.

Bardzo pożytecznem wydawnictwem jest miesięcznik **Wiedza i życie**. W każdym zeszycie znajdujemy bogaty i ciekawy materjał popularno-naukowy z rozmaitych dziedzin wiedzy. „Wiedza i życie“ jest zdaje się jedynem u nas wszechstronnem pismem popularyzatorskiem. Rozprawy i artykuły sprawozdawcze piszą wybitni uczeni i fachowcy. Daje to rękojmię, że są wyczerpujace i godne całkowitego zaufania. Adres: Warszawa, Natolińska 8.

W Krakowie ukazała się jednodniówka młodej inteligencji postępowej **Blok**. Jednodniówka zajmuje się przeważnie sprawami akademickiemi. Walczy o jedność całej demokracji polskiej. Po wakacjach „Blok“ będzie się ukazywał jako dwutygodnik. Adres: Kraków, Al. 3-go Maja 5.

St. Thugutt pisze w **Wiciach** (nr. 25—26): „Tylko człowiek o sercu kamiennem będzie się obojętnie przyglądał gwałtowi, jaki przemoc zadaje słabości, będzie z tchórzostwa czy ospalstwa niemym świadkiem wszelkiego zła, okrucieństwa, obłudy i fałszu, jakie niestety plenią się po dziś dzień w świecie.

Szczególnie uprawniona wydaje się walka, jaka od najbardziej niepamiętnych czasów toczy się o lepszy ustrój społeczny, o lepszy podział bogactw. Walka ta, toczona przez słabych przeciw silnym, przez pokrzywdzonych przeciwko krzywdzicielom, jest usprawiedliwiona tem, że ów zły ustrój więcej wycisnął ludzkości łez i cierpień niż mór, ogień i wojna, trwa bowiem ciągle, podczas gdy tamte są tylko przemijającemi klęskami...

W ustroju obecnym, w ustroju wściekłego, bezprzytomnego zmagania się wszystkich ze wszystkimi, ginie pomału wszystko, co czyni życie szlachetnem i czystem, ginie przedewszystkiem szacunek i litość dla tych, których się zwyciężyło. Jedynym celem staje się zysk, jedynem panującem nad wszystkiem uczuciem — chciwość... Temu nieznośnemu stanowi rzeczy, temu zorganizowanemu ludożerstwu przeciwstawia się coraz mocniej olbrzymi obóz pracy. Obóz to szary, bez świetnych przywódców, bez pełnych chwały i blasku zwycięstw narazie. Chce on przedewszystkiem uszanowania najistotniejszego z praw swoich — prawa do życia. Chce, żeby to prawo przysługiwało wszystkim“.

Lwów Literacki (nr. 6) przynosi wynik konkursu na „wiersz o Lwowie“: pierwszą nagrodę otrzymał J. Znaniecki, drugą K. Alberti, trzecią M. Lisiewicz, czwartą T. Żakiej. Ten ostatni pisze również dialog o K. Szymanowskim, M. Rudnicki przedstawia „Blaski i nędze teatru ukraińskiego“.

Epoka poświęca dużo miejsca sprawom chłopskim. Wł. Kowalski stwierdza: „...W Polsce współczesnej panuje psychologja szlachetczyzny. To znaczy psychologja, która ongi poprzez stanowy swój interes zwęziła państwo polskie od skali mocarstwowej do zera. Metoda tej psychologji polegała na tępieniu żywych sił narodu... W niepodległej Polsce masy chłopskie nie znalazły ani należytej opieki, ani zrozumienia... Nie umiano znaleźć wspólnego z chłopami języka, ani nie zdołano wytworzyć odpowiednich dla Polski i dla wsi form gospodarczych... Chłopów odepchnięto od pływu na państwo. Ale ciążąca nad Polską potęga chłopska nie pozwala o sobie zapomnieć... Tu nie chodzi wyłącznie o ziemię, lecz i o pełny zwrot państwa ku chłopom. Chłop musi ten zwrot odczuć. Ano bo Polski garść ziemian istotnie nie uratuje“.

Naród i państwo (nr. 21—22) domaga się rozstrzygnięcia t. zw. sprawy Brzozowskiego. Brzozowski został, jak wiadomo oskarżony o wysługiwanie się carskiej ochranie. Dotychczas sprawa nie została publicznie rozstrzygnięta, mimo wielu głosów, udowadniających niewinność autora „Legendy Młodej Polski“. Jest to podstawowym obowiązkiem Polskiej Akademji Literatury. „Wierzymy, że gdyby żył Stefan Żeromski, człowiek z sumieniem o własnościach sejsmografu, sprawa ta byłaby już dawno podjęta“. Staraniem Akademji powinien być w najbliższym czasie zwołany sąd, co jest również życzeniem żony i córki wielkiego pisarza.

Bez wyrazu jest **Nasz wyraz**. Skupia najmłodszych, początkujących poetów i prozaików krakowskich. Połowę zeszytu zajmują recenzje teatralne i przegląd prasy.

Wynik ankiety **Odnowy** (nr. 37) na temat diagnozy obecnych stosunków polskich streszcza się krótko: „moralność, sprawiedliwość, praworządność, swoboda, szacunek jednostki, uczciwość publiczna i prywatna, godność, równouprawnienie, parlamentaryzm, demokracja, wiara, praca, niezależność opinji i sądów, zbiorowa wola, honor, objektywizm“. Potępiono: „elitaryzm, nienawiść, przemoc, samowolę, brak odpowiedzialności, totalizm, linje podziału, brak tolerancji, etatyzm, monopartyjność, przywileje, konspirację, brak kontroli“. W ankiecie brali udział dawni działacze polityczni, przeważnie liberali i demokraci starej daty. Wszyscy wypowiedzieli się za demokracją według wzorów zachodnio-europejskich.

K. K.

KRONIKA

Dembiński i Jędrychowski w więzieniu

W początkach czerwca zostali aresztowani w Wilnie Henryk Dembiński, Stefan Jędrychowski, Jerzy Putrament i Władysław Borysowicz. Borysowicz i Putrament zostali po przesłuchaniu wypuszczeni na wolność. W więzieniu przebywają dotąd Dembiński i Jędrychowski. Dembiński jest znanym działaczem społeczno-ideowym, wydawał w roku 1935 i 1936 pisma społeczno-literackie „Poprostu“ i „Karta“. Pełen zapału i ofiarności, jest też nieprzeciętnym publicystą, uczonym i pisarzem. Jędrychowski dał się poznać również jako głęboki, wszechstronnie wykształcony publicysta i uczony, znawca spraw społecznych. Jak wiadomo, oskarżony w procesie t. zw. lewicy akademickiej, został w trzech najwyższych instancjach uniewinniony. Prasa podaje, że jednym z tych, którzy dali podstawę do aresztowania Dembińskiego i Jędrychowskiego, był St. Mackiewicz, redaktor wileńskiego „Słowa“, który przeciw nim prowadził od sześciu lat bardzo ostrą kampanję, nazywając ich „zdrajcami Ojczyzny“. W tej sprawie B. W. Święcicki ogłosił w „Kurjerze Powszechnym“ piękny list otwarty do St. Mackiewicza. Święcicki wierzy, że „po drugiej stronie barykady znajdują się również ludzie, z którymi można swobodnie toczyć walkę na idee, zasady i argumenty... Czyż to Pana nie obchodzi, że tak zdolni (czego Pan nie zaprzeczał i nie zaprzecza), wykształceni młodzi ludzie, jak Dembiński i Jędrychowski, opuściwszy mury uniwersytetu nie znaleźli odpowiednich dla siebie warsztatów pracy, że zamiast być pożytecznymi realizatorami nabytej wiedzy — karmią się ochłapami własnej sławy, że dziś, znalazłszy się pod straszliwem oskarżeniem, są niemalże bezbronni, bo przylgnęło do nich piętno... przestępców stanu... Ja nie wtrącam się w tajemnicę śledztwa, daleki jestem od ferowania na własną rękę wyroku, gdyż nie czuję się do tego upoważniony, lecz czuję się... uprawniony do zwrócenia uwagi na tragizm samego problemu... Ja nie wierzę w ich zamiary skrytobójcze w stosunku do Ojczyzny, nawet wtedy, gdy nie dla każdego z nich jest matką, a macochą“. („Kurjer Powszechny“, 8 czerwca 1937).

Jak podaje prasa, w więzieniu przebywa również młoda, dobrze zapowiadająca się pisarka, Marja Żeromska.

Ciekawa sprawa prasowa

Ciekawa rozprawa sądowa odbyła się w czerwcu przed sądem grodzkim w Łodzi. Pisarz Rafał Len wydrukował w jednem z pism łódzkich artykuł o „nowym humanizmie“. W artykule tym autor powołał się m. inn. na nr. 1 czasopisma niemieckiego „Das Wort“, wychodzącego coprawda w Moskwie, ale grupującego wszystkich niemal niemieckich pisarzy emigracyjnych, od lewicowych aż do monarchisty i legitymisty Józefa Rotha. Autor artykułu został oskarżony o to, że cytował z pisma, nie posiadającego w Polsce debitu. Okazało się jednak, że pismu „Das Wort“ odebrano debit pocztowy dopiero 30 listopada 1936 r., artykuł zaś mówił o jego numerze pierwszym z lipca ub. r. Pozatem zarówno artykuł jak i samo pismo nie miało charakteru politycznego. Autor został pociągnięty do odpowiedzialności z art. 170 k. k. Po długich dochodzeniach i rozprawie sąd uniewinnił Rafała Lena, motywując wyrok tem, że nie jest przestępstwem wygłaszanie opinji krytycznej o piśmie literackiem.

Konfiskata „Sygnałów“.

Dnia 5/V 1937 r. sąd okręgowy we Lwowie po wysłuchaniu zdania prokuratora zatwierdził konfiskatę artykułu Faustyna Tea-Gawińskiego „Polska na rozdrożu“ i artykułu Haliny Górskiej „Nauczyciel życia“ w numerze 29 „Sygnałów“. Konfiskata artykułu „Polska na rozdrożu“, który był sprawozdaniem z ostatniej książki Marji Dąbrowskiej „Rozdroże“, motywowana była „szerzeniem fałszywej, niepokój publiczny wywołać mogącej wiadomości o stosunkach wewnętrznych w Państwie Polskiem“, konfiskata artykułu „Nauczyciel życia“, sylwetki znanej działaczki Stefanji Sempołowskiej, widzianej przez pryzmat wspomnień dzieciństwa autorki, „gloryfikacją osoby politycznie podejrzanej“, a co za tem idzie — „pochwalaniem przestępstwa“.

Książka Marji Dąbrowskiej nie została skonfiskowana, a obszerne i entuzjastyczne recenzje o niej ukazały się w całej demokratycznej prasie polskiej. Nic też nam niewiadomo o konfiskatach szeregu artykułów, które ukazały się w prasie z okazji 45-lecia pracy Stefanji Sempołowskiej. O konfiskacie artykułu Haliny Górskiej pisze warszawski „Dziennik Poranny“ z dnia 11 czerwca 1937: „Mamy nadzieję, że motywy te interesujące zasadniczo całą prasę polską we wszystkich jej odcieniach politycznych i społecznych, znajdą dalsze wyjaśnienia ze strony właściwej. Choćby z jednego względu: aby prasa dowiedziała się, co może być podstawą określenia „osoby podejrzanej“ i jak można przez to uniknąć gloryfikacji przestępstwa“.

Polacy o Żydach

Nakładem Polskiej Unji Zgody Narodów ukazała się broszura „Polacy o Żydach“.

Nie pierwsze to już wydawnictwo, zawierające zbiór artykułów pisarzy Polaków o kwestji żydowskiej. W odpowiedzi na tysiące legalnych i nielegalnych żydożerczych pism i ulotek zalewających Polskę, pojawiają się od czasu do czasu te książeczki wydawane (w jakże nikłym nakładzie) za uzbierane pośród inteligencji demokratycznej lub robotników grosze. Na uwagę zasługuje przedewszystkiem doskonała broszura „Kwestji żydowskiej nie będzie“, wykazująca ścisły związek między rozkładem ustroju kapitalistycznego, a narastaniem fali antysemityzmu, i wreszcie ostatnia — „Polacy o Żydach“, zbiór artykułów polskich pisarzy, działaczy społecznych oraz reprezentantów różnych sfer społeczeństwa.

Autorzy zaznaczają, że wydawnictwo ich nie ma pretensji do wyczerpującego ujęcia zagadnienia antysemityzmu, lecz jest jedynie zbiorem wypowiedzi, „jakie wypłynęły z nurtem dnia, wyniesione falą doraźnej aktualności“. Wypowiedzi te „powstały w ogniu walki o rzeczywistość polską. Stanowią więc dokument chwili, serję dokumentów obrony, fragment „wojenny“ dni dzisiejszych“.

Czy broszura ta spełni swoje zadanie? Czy w czasach, gdy propaganda antysemicka prowadzona zupełnie celowo i bezkarnie, przy nakładzie olbrzymich środków materjalnych, zdołała do tego stopnia sfanatyzować tłumy, że antysemityzm stał się masową psychozą, głos rozsądu i szlachetnego humanitaryzmu dotrze tam, gdzie powinien dotrzeć, czy też zginie w zwierzęcym ryku nienawiści? Nie wiemy. W każdym jednak razie, jako „dokumenty chwili“ wypowiedzi takie posiadają ogromną wartość. Są one dokumentem — obrony. Nie obrony Żydów, obrony nas samych.

Kiedy opadnie fala zdziczenia i brutalnego chamstwa, zalewająca Europę, kiedy przyjdzie (może za nas, a może już po nas) epoka braterstwa ludów i nowej, prawdziwej demokracji, dokumenty te będą nas bronić wobec historji. Pokażą one kulturalnym narodom świata, że w czasach, gdy we wszystkich uniwersytetach zdziczali, palący książki i niszczący przyrządy naukowe młodzieńcy bili kobiety i masakrowali bezbronnych kolegów, w czasach, gdy jad nienawiści dotarł tak głęboko, że dzieci szkolne, maszerujące w pochodzie trzeciomajowym w Łodzi, krzyczały „śmierć Żydom!“, w czasach, gdy pewne pisma stołeczne usprawiedliwiały mord pięcioletniego dziecka, a duża część opinji kraju wysuwała wobec zmasakrowanej i obrabowanej z nędznego mienia ludności Brześcia zasadę „zbiorowej odpowiedzialności“, gdy nawet najprymitywniejsze odruchy już nie kulturalnego człowieka, ale wogóle — człowieka, uległy takiemu wypaczeniu, iż ludzie przypatrywali się spokojnie tonącemu żydowskiemu chłopcu, a bardziej ludzki od nich okazał się — pies, w czasach wreszcie, gdy każdy, kto stawał w obronie poniewieranych, był zdrajcą ojczyzny i agentem bolszewickim, znaleźli się ludzie, którzy wbrew wszystkim i wszystkiemu — stanęli i wytrwali.

K. K.

Nakładem »Roju«
ukazała się powieść
HALINY GÓRSKIEJ
ŚLEPE TORY
Z cyklu »Barak płonie« Cena 6 zł.

ADAM ASNYK

DZIEŃ WCZORAJSZY

Piotr teraźniejszość wyklina;
Wszyscy gniewają go ludzie:
Gniewa zalotna dziewczyna
I piesek, co szczeka w budzie.

Gorszą go nowe kierunki;
Potępia działalność cudzą;
Dzieci na łonie piastunki
Już jego odrazę budzą.

Wszędzie zepsucie go ściga.
Próżno sam stoi na straży;
Zwycięża w świecie intryga
Żydów i Wolnych Mularzy...

Zalewa ziemię wokoło
Rozpusty bezwzględny cynizm;
Jak hydra podnosi głowę
Socjalizm i jakobinizm.

Znikąd nie widać pociechy:
Więc przepowiada narodom
Za wszystkie tych czasów grzechy
Los straszny biblijnych Sodom.

„Dawniej to wspomnieć aż miło —
Nic nie kosztował nas najem;
Wszystko się samo robiło
I życie było, ach! rajem.

Podatków nie gniotło brzemię.
A pan spokojnie sprzedawał,
Jeśli nie całą ziemię,
Przynajmniej dobry jej kawał.

Moralność kwitła na dole...
I niższa narodu warstwa
Kornie znosiła niedolę,
Szukając w modłach lekarstwa.

Nie było pokusy próżnej:
Każdy się godził z swym stanem;
Kto żebrak, ten żył z jałmużny,
A pan — ten zawsze był panem.

Nauki zgubnego jadu
Nikt w dusze ludzkie nie szczepił:
Zepsucia nie było śladu,
Najwyżej — wioskę kto przepił.“

Tak się wciąż skarży i zżyma
I biada poczciwa dusza,
Aż przywdział ubiór pielgrzyma
I w drogę po nocy rusza.

Wśród nocy — ciemno troszeczkę,
Więc w błocie kosturem grzebie;
Zapalił łojową świeczkę
I pilnie patrzy przed siebie.

— „Gdzie idziesz? — pytam — człowiecze.
Czy szukasz po nocy czego?“
A on mi z dumą odrzecze:
— „Ja szukam dnia wczorajszego.“

— „Jak sądzę daleko zajdziesz:
Pośpieszaj zatem jegomość,
A jak wczorajszy dzień znajdziesz,
Przyślij mi pocztą wiadomość.“

El...y (Adam Asnyk). Pisma. Przedmową poprzedził St. Krzemiński. Tom II. , str. 74—76. Warszawa 1898. Gebethner i Wolff.

ŻALE SATYRYKA

Nie wolno na głowę ościennego państwa
(oczywiście pisać) — bo jeśli...
ośmielę się dotknąć tej głowy,
wszystko mi skreśli
tępiące draństwa
P. T. Biuro Prasowe.

Jeśli tego wymaga mocarstwowy ład,
o P. T. Biuro, proszę Cię przeto,
ratuj satyrę biedną!
Niechaj L. O. P. P. zostanie poetą
lub P. A. T. —
wszystko nam jedno.

Gdy już wiersze P. I. M.-a kłębiaste warstwowo
będzie drukować Monitor
a P. A. L. zapowie nam deszcz,
nagrodę państwową
i pełne koryto
otrzyma Gałuszka — wieszcz.

A śmiać się już ludzie z tego nie będą,
tylko okrzyki wznosić wśród braw
w karnej jedności,
bo oto się kręcą panowie z Urzędu
dla Spraw
Tępienia Radości.

Odkładam na bok prorocze pióro,
bo chciało klnąć mi się szpetnie
w imię świetlanej przyszłości.
Chyba mi tego nie zetniesz,
o Biuro!

Dla zwykłej przyzwoitości.

LEON PASTERNAK

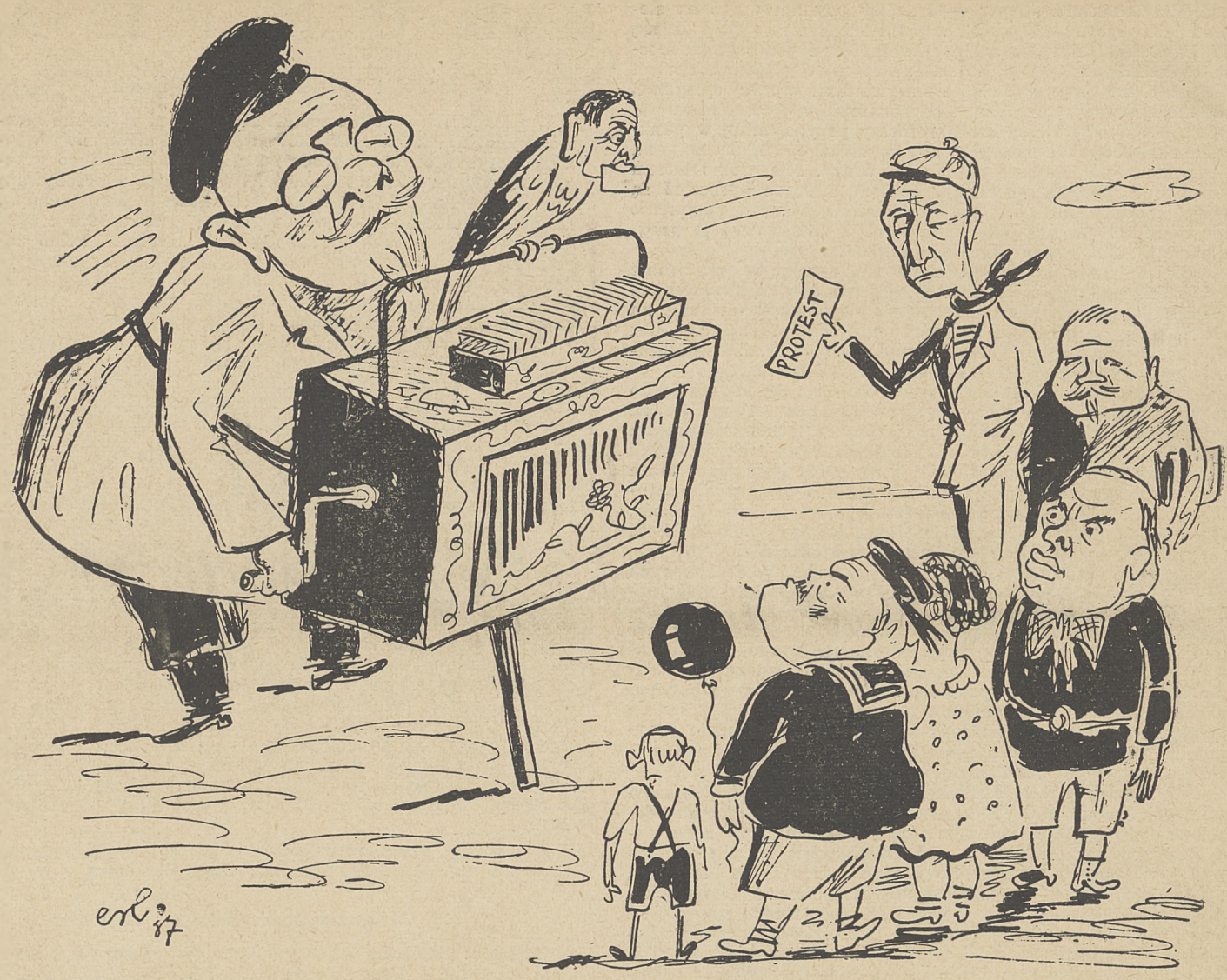

Wybory w Akademji Literatury rys. Eryk Lipiński

DO PEWNEJ POETKI – LIST NIEZBYT ZŁOŚLIWY

Śnią Ci się rżące centaury na sinym moście Kierbedzia, —
czemu nie tkliwe sasanki? Co Freudby na to powiedział?
Tapczan tęsknie wygniatasz i muzę panieńską natężasz, —
czego nie zrobi kobieta, by posiąść sławnego męża?
Ale z talentem (przyznaję) zużywasz sex i atrament,
by wierszom (coraz to gorszym) najlepszą robić reklamę.
Śród słówek, cacek, głupstewek, rozbrajających ogromnie:
„Stasiu — lub jakiś tam Jasiu — napiszesz recenzję o mnie?".
Spotykasz znakomitości, zawierasz wciąż znajomości,
Twe przyjaciółki, o Pani, pękają chyba z zazdrości.
Pyszni się Tobą światek (nie Karpiński lecz poetycki),
syreni się Adrja-tyk, ocean nasz moszkowicki.
I chciałabyś wszystkich poetów zająć swoją osobą,
poezją swą matrymonjalną zaimponować snobom.
I lada początkujący pożeracz półczarnych i serc
i młodzik pewien niesławny, niejaki (jak mu tam) Herz(?) —
Wszyscy Cię wielbią. A Ty zaś jak Ewa, którą kusi wąż,
biorąc ciastko z drzewa, wzdychasz: Mąż, och! Sławny mąż!

P. S.
Kiedyś, gdy dziatki rosłe u kolan już brykać Ci będą,
a mąż (potulny aptekarz) w papier pachnący lawendą
pigułki będzie owijać (w tomiki od Przeworskiego!),
wspomnij, proszę, te czasy dalekie, poetów — i tego,
co wiersz ten niezbyt złośliwy szarmancko składa Ci w dani,
co Cię wielbić nie umiał, lecz zawsze rozumiał, o Pani!

LEON PASTERNAK

rys. Franciszek Parecki

Rewizja

Żadna praca... nawet praca społeczna nie hańbi! rys. J. Bickels

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK
Redakcja i administracja:
LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 4
codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt,
od godziny 18—19
PRENUMERATA:
roczna 5 zł., półroczna 2.60 zł., kwartalna 1.40 zł.
Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr. 1.

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6